Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI — Warszawa, 20 sierpnia 1950 r. — Nr 33 (247)

Wojciech KĘTRZYNSKI

TRZY GROSZE DO DYSKUSJI O LIBERALIZMIE

Na łamach Tygodnika Powszechnego toczy się od pewnego czasu polemika na oryginalny temat: czy i w jakiej mierze da się pogodzić liberalizm z zasadami społecznej moralności, głoszonymi przez Kościół Katolicki (Tyg. Pow. Nr 269, 273, 278).

Dyskusja jest niewątpliwie na czasie, mimo, że ma charakter najzupełniej oderwany od tych problemów, które wiążą się z precyzowaniem stosunku katolicyzmu do aktualnie dziejących się w Polsce przemian.

Wartość dyskusji polega na tym, że może dać konkretny, doktrynalny materiał do przemyśleń tym wszystkim, których mami propaganda kapitalistyczna, głosząca wszem i wobec, że w świecie liberalizmu Kościół Katolicki znajduje dla siebie optymalne warunki rozwoju.

Orędownikiem idei liberalistycznych na łamach Tygodnika Powszechnego jest Stefan Kisielewski, któremu w sukurs przybiegł wnet Leopold Tyrmand, punkt widzenia katolicki wykłada parokrotnie ks. red. Piwowarczyk, któremu z kolei sekunduje J. M. Święcicki.

Trzeba tu jednak na samym wstępie podkreślić, że Kisielewski, propagując ideowe założenia liberalizmu odcina się kategorycznie od tych form ekonomicznych i politycznych, jakie reprezentuje dzisiejszy kapitalizm monopolistyczny i imperialistyczny. Idąc za wzorem głośnego na zachodzie socjologa i ekonomisty W. Röpkego, twierdzi on, że idee propagowane są nowym, uzupełnionym i poprawionym wydaniem liberalizmu i że wyzbyte są tych elementów negatywnych, które doprowadziły świat zachodni do dzisiejszej sytuacji. „Neo-liberalizm" więc ma być koncepcją, opartą o te same założenia ideologiczne podstawowe, lecz uodpornioną przeciw błędom „liberalizmu hisorycznego" XIX wiecznego. Pozostaje, rzecz oczywista, udowodnić prawdziwość tych twierdzeń.

Tak więc Kisielewski rozróżnia aż trzy typy liberalizmów — „liberalizm historyczny", dziś zdyskredytowany, „neo-liberalizm", stworzony przez Röpkego, jako program ideologiczny na dziś i „liberalizm ponadczasowy", stanowiący kwintesencję ideologiczną całego tego kierunku, reprezentujący wartości istotne i wieczne, realizowane w ramach różnych epok przez „konkretne" liberalizmy.

Nim przystąpimy do sformułowania paru tez w stosunku do całokształtu tej dyskusji, trzeba przede wszystkim wyjaśnić sprawę owego „ponadczasowego" liberalizmu. Kisielewski nie precyzuje tez ideologicznych „ponadczasowych" liberalizmu. Wszystko co o nich wiemy, to to, iż są one dla Kisielewskiego „sugestią ideologiczną, ponadczasową, to znaczy żłobiącą sobie drogę od kilkuset lat w ramach każdej sytuacji społeczno - historycznej, oraz że „w swym założeniu liberalizm jest ideologią stawiającą na pierwszym miejscu wolność jednostki i to wolność w każdej dziedzinie — wolność gospodarczą, wolność kulturalną, wolność światopoglądową, wolność polegającą na możliwości dokonania wyboru własnego stylu życia, co więcej — realizowania tego wyboru".

Postawienie sprawy w istocie bałamutne i wielka szkoda, iż dyskutanci Kisielewskiego dali się choć częściowo ściągnąć na te czysto abstrakcyjne pozycje. Czy istnieje bowiem wogóle liberalizm „ponadczasowy", idea, koncepcja „ponadczasowa"?

Kościół Katolicki, katolicyzm — to są niewątpliwie pojęcia ponadczasowe. Ale też nie są one wytworem „czasowego" umysłu ludzkiego. Są one — Ciałem Mistycznym Chrystusa, wypełnianym co dzień, co chwila całą naszą doczesnością. Ale też są one pojęciami transcendentalnymi.

Precyzując sformułowanie Kisielewskiego trzeba by było je sprowadzić do twierdzenia o istnieniu abstrakcyjnego ideału wolności, wolności samej w sobie, wolności, jako takiej. Ostrożnie! Twierdzenie takie trąci idealizmem filozoficznym, najklasyczniejszym idealizmem platońskim, gdzie we własnym, odrębnym od ludzkiego świecie, żyły ponadczasowe i niezmienne idee, jak dobro, piękno, wolność.

Bez gubienia się w rozważaniach filozoficznych trzeba się tu przed jednym zastrzec: System myślowy katolicyzmu nie jest oparty na idealizmie filozoficznym. Jest on na wskroś realistyczny. Nie ma sensu wprowadzać do naszej dyskusji rozważań i pojęć nie wynikających z ducha katolicyzmu.

„Ponadczasowy" liberalizm, to według Kisielewskiego — realizowanie tezy o prymacie w świecie ludzkim „idei wolności". Jeśli zaś odrzucimy sugestię samoistnej idei — natrafimy, posługując się słowem „wolność", na pojęcie jak najbardziej względne. Najzupełniej inaczej pojmowano optymalną wolność człowieka w starożytności, w średniowieczu, w czasach Odrodzenia, Oświecenia, w w. XIX. Inaczej pojmuje wolność niewolnik, inaczej jego pan, inaczej kapitalista, inaczej proletariusz. Wolnośc jest czymś innym w filozofii katolickiej, innym według marksistów, innym jeszcze u fatalistycznych Mahometan. Pojęcia te, w różnych interpretacjach mogą być najzupełniej sprzeczne ze sobą. „Ponadczasowe" pojęcie wolności sprowadza się do ogólnika nic nie znaczącego.

Nas też nie może interesować abstrakcyjna idea wolności „jako takiej" ani też liberalizm „jako takiego". Nas, jako katolików, musi interesować konkretny problem *wolności człowieka*, *rzeczywistego* człowieka, ustawionego w *konkretnej*, historycznej rzeczywistości.

To, co Kisielewski nazywa „liberalizmem ponadczasowym" należałoby, dla uniknięcia nieporozumień nazwać ideologią liberalizmu, w odróżnieniu od konkretnego historycznego wzorca ustrojowego liberalnego, jaki nam pozostawił wiek XIX. Pierwsze to założenia teoretyczne, drugie, to wykonanie. Tych założeń teoretycznych nie można jednak szukać dowolnie. Podkład filozoficzny dał liberalizmowi okres Oświecenia, podstawowe założenia polityczne wykuła Wielka Rewolucja Francuska, gospodarka kapitalistyczna była naturalnym ekonomicznym przedłużeniem liberalizmu, zaś warstwy mieszczańskie — istotnymi wyznawcami i realizatorami tej ideologii. Dlatego ten, kto mówi „liberalizm" — nie może w teorii odżegnywać od jego najistotniejszych pojęć: indywidualizm, naturalizm, racjonalizm, tolerancja indyferentyzm. Kto mówi „liberalizm" — ten nie może nie przyznawać się do jego klasyków — w filozofii do J. Locke, JJ. Rousseau, Monteskiusza, Benthama, J. Milla, w ekonomii do pokrewieństwa z Fizjokratami, ze szkołą klasyczną z Ricardo, Smithem, Malthusem, z niemiecką Freihandelschule na czele.

Po stwierdzeniu zaś czym był w istocie klasyczny liberalizm, co tworzyło jego ideologię, może, rzecz oczywista Kisielewski zgłaszać własne poprawki, może, jeśli to uzna za celowe, podjąć próbę przekształcenia tej ideologii w swym klasycznym ujęciu materialistycznej i ateistycznej na ideologię teistyczną. Wydaje mi się, że takie są właśnie w pewnej mierze ambicje Kisielewskiego, i że to, co on nazywa „ponadczasowością" liberalizmu, to miałyby być te jego elementy, które pragnie zachować po odrzuceniu błędnego podkładu filozoficznego.

Niestety Kisielewski nie podaje nam żadnych bliższych precyzji, dotyczących oblicza ideologicznego takiego „chrześcijańskiego liberalizmu". Z całego dotychczasowego przebiegu polemiki wyłaniają się tylko dwa konkretne elementy: indywidualizm oraz prymat wolności nad wszelkimi innymi postulatami humanistycznymi.

W CZYM NIE ZGADZAM SIE Z KISIELEWSKIM

W sprawie indywidualizmu nastąpiło charakterystyczne starcie między Kisielewskim i ks. Piwowarczykiem i nie mamy nic do dodania do argumentów redaktora Tygodnika Powszechnego. Z przebiegu tej dyskusji wynika, że obie strony reprezentują skrajnie różne podejście do takich pojęć jak „społeczeństwo", „naród", „państwo". Kisielewski, mimo niedomówień i braku precyzji w swych tezach, stoi w istocie na stanowisku „umowy społecznej", które to stanowisko, negujące pojęte po katolicku prawo naturalne i zawarte w nim społeczne zobowiązania osoby ludzkiej, jest z punktu widzenia katolickiego nie do przyjęcia.

Pozostaje druga teza — „liberalizm jest ideologią stawiającą na pierwszym miejscu wolność jednostki, i to wolność w każdej dziedzinie" stwierdza Kisielewski. Popiera go L. Tyrmand: „treścią liberalizmu jest wolność człowieka na ziemi w jego doczesnym bycie oraz walka z przemocą, jaką ludzie usiłują narzucić innym ludziom".

Na czoło wszelkich postulatów humanistycznych liberalizm więc wysuwa zdecydowanie postulat pełnej wolności, ograniczonej tylko moralnym nakazem poszanowania przez każdego wolności drugiego człowieka. Nie wdajemy się tu już dalej w analize pojęcia wolności i jej ograniczeń, stosowanych przez liberalizm, gdyż tą drogą wracamy prosto ku indywidualizmowi, z którym rozprawił się już ks. Piwowarczyk. Nas tu interesuje inny problem. Czy słusznie i zgodnie z doktryną katolicyzmu — liberalizm wysuwa postulat wolności — na pierwsze miejsce wśród postulatów humanistycznych?

Wydaje się, że nie.

Filozofia katolicka kładzie niewątpliwie wielki nacisk na problematykę istotnej, pełnowartościowej wolności dla człowieka, wolności pozwalającej z jednej strony na pełny rozwój wartości moralnych w człowieku, z drugiej zaś, pozwalającej człowiekowi na jak najszersze rozeznanie, jak najgłębsze i wszechstronne stanowienie o sobie — jednym słowem, polegająca na dążeniu do wyposażenia człowieka w maksimum poczucia odpowiedzialności za samego siebie. Tak pojęta wolność obarczona jest licznymi ograniczeniami wynikającymi z konsekwencji społecznego współżycia. Pewne ograniczenia wolności przyjmuje zresztą i liberalizm, by nie popaść w anarchię. Liberalizm jednak ograniczenia te pojmuje jako wynikłe z subiektywnej, jednostkowej oceny dobra i wolności drugiego człowieka: mam obowiązek szanowania wolności cudzej, przy czym jednak sam ustalam granice tej wolności, tak jak sam ustalam zasady rozgrywki i jeśli napotkam się na interesy z moimi sprzeczne (wolna konkurencja). Myśl katolicka natomiast nie zadawala się subiektywnym sądem jednostki. Ustala obiektywne, nadrzędne pojęcie dobra powszechnego (nie będącego tylko wypadkową różnych indywidualnych interesów) i każe jednostce realizować swą wolność z poszanowaniem autorytetu, który dobro powszechne głosi. Stąd też istniejący w każdym człowieku pęd do swobody musi być ograniczany przy pomocy roztropności, miłosierdzia, poczucia sprawiedliwości.

Dostrzegam w nauce katolickiej tylko jeden gatunek wolności, niczym nie naruszalny i zawsze najpierwszy — wolność woli zbawienia czy potępienia swej własnej duszy. Zabezpieczenie tej wolności, zabezpieczenie warunków umożliwiających osiągnięcie zbawienia — oto postulat najistotniejszy. W innych zaś dziedzinach postulat wolności człowieka odgrywa także ważną rolę, ale już nie tak pryncypalną.

Liberalizm, wysuwając postulat wolności na czoło postulatów humanistycznych czyni to w przeświadczeniu, że człowiek, byleby nie był skrępowany więziami społecznymi — będzie na pewno czynił dobrze, rozwijał się poprawnie, szanował bliźniego, jednym słowem budował swe życie na pełnowartościowych przesłankach moralnych. Filozofia katolicka przestrzega przed tak pojętym optymizmem, w którym zresztą odnajdujemy typowe cechy doktryny Jana Jakuba Rousseau. Filozofia katolicka w żadnej mierze nie przesądza o konkretnych formach, w jakich życie społeczne ma się układać. Regulują to okoliczności i roztropność ludzka. Nie mniej katolicyzm podkreśla dostatecznie wyraźnie konieczność wdrażania w człowieka, poprzez właściwe wychowanie poczucia autorytetu, tak moralnego jak i społecznego. Człowiek w pojęciu katolickim jest istotą zdyscyplinowaną. Nie oznacza to rzecz prosta hołdowania ideałom bezdusznego drillu, bezmyślności, pędowi stadnemu. Ma to być zdyscyplinowanie świadome i moralnie odpowiedzialne. Taka postawa jednak nie ma nic wspólnego z zasadą liberalizmu: „wolność jednostkowa przede wszystkim".

Gdyby więc, dla przykładu, wybierać najpierwsze między hasłami Wielkiej Rewolucji Francuskiej, to Kisielewski wysunąłby oczywiście wolność, podczas gdy, wydaje mi się, w myśl założeń katolicyzmu — należałoby wybrać braterstwo — bo to oznacza miłosierdzie i sprawiedliwość.

„Ta przyjaźń jest istotną siłą pokojową w społeczeństwie, pisze Maritain. Jest ona jego treścią ożywczą... Społeczność nie może istnieć bez wiecznego dawania i wiecznego przybytku, bez istnienia niewyczerpalnego źródła szczodrobliwości, ukrytego w głębinach życia i wolności ludzkiej, a które tylko miłość potrafi odkryć i ożywić".

Trzeba więc stwierdzić, że elementy ideologiczne, które Kisielewski wyłuskuje z liberalizmu, na dowód zgodności jego generalnej tendencji ze społecznymi zasadami katolickiemi, albo nie są w rzeczy-

(dokończenie na str. 2)

TRZY GROSZE DO DYSKUSJI O LIBERALIZMIE

(dokończenie ze strony pierwszej)

wistości zgodne, albo też nie neutralizują istotnych błędów, tkwiących w liberalnych założeniach filozoficznych. Nic dziwnego zresztą. Kisielewski, mimo swoistego czaru „enfant terrible“ i renomy genialnego dyletanta nie posiada chyba ani możliwości ani ambicji odegrania roli dogłębnego reformatora myśli filozoficznej epoki racjonalizmu mieszczańskiego. Ani on, ani jego mistrz Röpke nie wykazują chęci parania się ze spuścizną Encyklopedystów, utylitarystów czy pozytywistów. Z drugiej strony system ten, wierząc w automatyczność procesów społecznych, nie pozostawił na dobrą sprawę na tym odcinku żadnej zwartej doktryny społecznej, (jak to ma miejsce z socjalizmem) którą by można było przyjąć za punkt wyjścia dla chrześcijańskich dążeń reformatorskich.

Pozostaje więc, dla obrońców liberalizmu tylko jedna droga — i tę właśnie wybrał Röpke, ostrożniejszy od swego ucznia: ogłosić „desintéressement“ dla całej strony filozoficznej zagadnienia, dowodzić, iż praktyka polityczno - społeczna liberalizmu jest „najmniej zła“ spośród wszystkich proponowanych współcześnie, zastrzegać się, że wszelkie błędy i zbrodnie kapitalizmu wynikają wyłącznie swoistych warunków XIX wieku, oraz, że dziś można ponowić ten sam eksperyment z nadzieją na lepsze wyniki.

Wszystko więc sprowadza się u Röpkego do tezy, że nienaruszając zasadniczych założeń liberalizmu — można wyminąć wypaczenia i przerosty współczesnego etapu kapitalizmu światowego. W tym celu Röpke odwołuje się do pomocy chrześcijaństwa i do jego zasad moralnych.

W CZYM NIE ZGADZAM SIĘ Z KS. PIWOWARCZYKIEM

W tym miejscu chciałbym wnieść znowu jedno zastrzeżenie do dyskusji toczącej się na łamach Tygodnika Powszechnego. Tym razem jednak pod adresem ks. red. Piwowarczyka. Przez jego polemikę z Kisielewskim i Tyrmandem przewija się sugestia, iż stanowisko reprezentowane przez „Rerum Novarum“ przeciwstawiające się klasycznemu liberalizmowi jest jedyną katolicką postawą w danym wypadku. Na nieśmiałe próby Tyrmanda, wskazujące na to, że byli przecież katolicy, były kierunki jawnie chrześcijańskie, próbujące jednak budować na podstawach ustroju liberalnego — odpowiada ks. Piwowarczyk, że warszawskich liberałów nie zna, a o Lordzie Actonie, głośnym liberale i katoliku angielskim wie, iż będąc przeciwny uchwałom Soboru Watykańskiego — nie mógł być dobrym katolikiem.

Przykłady Tyrmanda nie są chyba najcelniej dobrane. Wprawdzie o polskich liberałach wiadomo z historii, jednak ich pozycje ideologiczne są tak płytkie, że nie warto się na nie powoływać. Lorda Actona, wydaje mi się, ks. Piwowarczyk raczej skrzywdził, gdyż ostatecznie nie on jeden z katolików współczesnych przeciwny był obradom Soboru. Biskup Ketteler rzucał się do nóg Piusa IX, błagając go o więcej ustępliwości w obradach. Przeciw proponowanemu tekstowi przemawiali także tacy dostojnicy Kościoła, jak kardynał Schwarzemberg z Pragi, arcybiskup Darboy z Paryża, biskup Hefele z Rottenburga, a dogmat został ogłoszony po opuszczeniu obrad przez całą opozycję. Wiadomo też, że opozycja przeciw tej uchwale nie wynikała z zasadniczych rozbieżności dogmatycznych, lecz w znacznej mierze z przyczyn praktycznych — z innej oceny sytuacji Kościoła, a częściowo z przyczyn czysto politycznych. W oczach bowiem wielu — polityka Piusa IX była polityką ultra - konserwatywną i w wielu doczesnych sprawach szkodliwą i obawiano się nadmiernego wzmocnienia jego osobistego politycznego autorytetu. Nie miało to jednak nic wspólnego z herezją, nie miało nic wspólnego z rozłamem w Kościele, czy nawet z brakiem szacunku dla urzędu Namiestnika Chrystusowego.

To są jednak uwagi marginalne, gdyż, jak powiedziałem, przykłady historyczne p. Tyrmanda wydają mi się słabo dobrane. Niemniej, dla ścisłości trzeba stwierdzić, iż były, wcale poważne kierunki, ściśle katolickie, które próbowały realizować program w istocie broniący form ustrojowych liberalizmu — myślę o „Szkole pokoju społecznego“ Le Play'a, oraz o późniejszej „szkole z Angers“ biskupa Freppel'a.

Obie te szkoły stanowią we Francji, przez niemal że całą drugą połowę XIX wieku najzupełniej wyraźnie ten kierunek, który „stawiał“ na ustrój liberalny i jego instytucje. Karol Gide ocenia szkołę Le Play'a jako „wśród szkół chrześcijańsko-społecznych najbardziej zbliżoną klasycznej szkole liberalnej“. Następnie zaś, gdy w środowiskach katolickich pod wpływem Ozanama, Lacordaire, de Mun, szkoły Leodyjskiej, Unii Fryburskiej zaczęły się rodzić i umacniać koncepcje antyliberalne, interwencjonistyczne, korporacyjne, szkoła Le Play'a została przedłużona przez nowy zespół katolików-liberałów.

„Coraz to szersze miejsce, przeznaczone przez koncepcje korporacyjne dla interwencji państwa, spowodowały w niektórych środowiskach katolickich prawdziwy niepokój. Z tego też powodu w grudniu 1890 r. grupa działaczy spośród konserwatystów i liberałów założyła w Angers „Katolickie stowarzyszenie Ekonomii politycznej i społecznej“, pod przewodnictwem biskupa Freppel. Celem jej było złączenie wszystkich ekonomistów i socjologów, przeciwnych socjalizmowi etatystycznemu, o sprzyjanie któremu posądzeni byli katolicy społeczni (de Mun). Zwolennicy Le Play'a dołączyli się do stowarzyszenia licznie. (H. Rollet „L'Action sociale des catholiques en France“).*)

Cechą charakterystyczną obu tych szkół, stanowiących zresztą jeden, wspólny kierunek ideologiczny, jest przeciwstawianie się interwencjonizmowi państwa, ograniczanie jego roli do czynnika, który ma chronić prawa i nie dopuszczać do nadużyć, jednym słowem „wyrównywać trawnik“. Cały natomiast ciężar aktywnych przemian, niezbędnych ich zdaniem dla zahamowania procesu koncentracji własności i władzy, dla niedopuszczenia do nędzy i proletaryzmu szkoły te przerzucają na barki instytucji charytatywnych i opiekuńczo-społecznych; przy czym wyrażają nadzieję, że sfery posiadające, jeśli nie z pobudek chrześcijańskiego sumienia, to co najmniej z wyrachowania tę akcję wyrównującą moralne i materialne braki ustroju poprą.

Można nawet stwierdzić, iż na pewnych odcinkach ta tendencja uzyskała znaczne, choć sporadyczne sukcesy. Rozwijała szkolnictwo, kasy samopomocowe, szpitalnictwo, poradnie, docierała do kół przemysłowców i przedsiębiorców upominając się o bardziej ludzką postawę. Ideałem ich było przeprowadzenie gruntownej reformy obyczajów, któraby zneutralizowała błędy i zbrodnie kapitalizmu, podnosząc moralność publiczną a zwłaszcza poczucie odpowiedzialności kapitalistów za losy mas robotniczych.

Rzecz oczywista były to w najlepszym wypadku paliatywy, w niczym nie ratujące sytuacji, a całkowicie obce aspiracjom społecznym mas robotniczych.

Założenia tego kierunku wyrażały jednak wyraźną tendencję do maksymalnego poszanowania zasad liberalizmu ustrojowego, proponowały korekturę w duchu chrześcijańskim, opierając ją na koncepcjach czysto paternalistycznych i solidarystycznych.

Jeśli uczyniłem tak długi wypad w historię dziewiętnastowiecznych koncepcji liberalno-chrześcijańskich, to rzecz oczywista nie po to, by je źródłowo i dokładnie analizować, lecz po to, by wskazać na rzeczywistych antenatów koncepcji proponowanych nam przez Röpkego za pośrednictwem Kisielewskiego i Tyrmanda. Röpke nie ukrywa zresztą swych sympatii i powiązań z tymi kierunkami, często i chętnie powołując się zwłaszcza na Le Play'a, najgłośniejszego pisarza tej orientacji. Jego stosunek do koncepcji ustrojowych, zalecanych w encyklice „Quadragesimo Anno“ jest zresztą identyczny do reakcji ludzi ze szkoły z Angers na ogłoszenie tez „Rerum Novarum“.

Trzeba jednak by Kisielewski uświadomił sobie i dobrze przemyślał fakt, iż kierunek ten, z którego w sposób oczywisty wywodzi się myśl Röpkego — był zawsze i jawnie — orientacją ściśle konserwatywną: wyraźnie anty - postępową reakcją w obozie katolickim. Nie zaprzeczając uczciwych intencji niektórych jego wyznawców — trzeba stwierdzić, iż była to tylko próba zahamowania i uśpienia rodzącego się buntu społecznego, bez najmniejszej chęci zlikwidowania istoty dziejącego się zła. Bardziej na prawo znajdowali się już tylko zwolennicy powrotu do stanu feudalnych przywilejów monarchii przedrewolucyjnej.

Orientacja ta, jak to słusznie dowodzi ks. Piwowarczyk, została jawnie zdezawuowana w obu tych encyklikach. Nie mniej, jeśli chodzi o szkołę Le Play'a i szkołę z Angers nikomu nie przyszłoby do głowy twierdzić, iż nie reprezentowały one pewnego odłamu myśli katolickiej i na pewno ani Le Play ani biskup Freppel nie byli uważani za heretyków. Po prostu stwierdzono nieskuteczność, jałowość ich wysiłków, niezdolność przezwyciężenia tą drogą fatalnych błędów ciążących na epoce liberalizmu.

W CZYM NIE ZGADZAM SIĘ Z OBIEMA STRONAMI

W pewnym miejscu swej mowy obrończej na rzecz neo - liberalizmu Kisielewski zwraca się wprost z apostrofą do ks. Piwowarczyka, apelując, by wszystkie chrześcijańskie koncepcje solidarystyczne przyjęły wspólną bazę chrześcijańskiego liberalizmu i indywidualizmu. Walka między nimi „to piłowanie gałęzi na której się siedzi“ — ostrzega.

Tu istotnie znajduje się punkt styku obu, przeciwstawnych sobie pod wieloma względami, koncepcji ks. Piwowarczyka i Kisielewskiego. Odrzucając całą nieprzekonującą dysputę filozoficzną, którą, jak twierdzę, Kisielewski prowadzi w sposób płytki i mętny, spór na łamach Tygodnika Powszechnego toczy się między dwiema orientacjami reformistycznymi w stosunku do kapitalizmu, przy czym jedna idzie dalej, proponując wzmocnić ingerencje czynnika państwowego przy pomocy systemu korporacyjnych organizacji zawodowych, druga, nieufna w stosunku do wszystkiego co pachnie „gospodarką kierowaną“, kładzie główny nacisk na samoczynność „wolnego rynku“ i stawia państwu za zadanie pilnowanie, by strony nie łamały obowiązujących zasad wolnej konkurencji.

Tak czy inaczej ustrój pozostaje oparty na zasadzie supremacji własności prywatnej w życiu ekonomicznym, na inicjatywie prywatnego kapitału, w taki czy inny sposób reglamentowanego czy nadzorowanego przez państwo jako superarbitra.

W tej dyskusji też obie strony skwapliwie trzymają się momentów ściśle teoretycznych, rozprawiają nad założeniami ideologicznymi wyabstrahowanymi od rzeczywistego układu sił działających we współczesnym społeczeństwie. Wspólne obu dyskutantom zasady solidaryzmu mają stanowić gwarancję, że super-arbitraż aparatu państwowego będzie obiektywny i sprawiedliwy i że strony poddadzą się mu posłusznie. W myśl założeń solidarystycznych bowiem wszelkie spory i sprzeczności, wyłaniające się w życiu społecznym są dowodem tylko nieporozumień lub złej woli stron. W istocie wszystkie interesy układały by się w społeczeństwie zawsze harmonijnie i po prostu trzeba umieć w każdej sprawie znaleźć takie wyjście, które jednocześnie zadowoli wszystkich.

Ten właśnie problem rozjemczej, dobrowolnie rozjemczej roli aparatu państwowego stanowi słaby punkt wszystkich koncepcji solidarystycznych, bez względu na to czy przewidują one prostszy, czy bardziej złożony aparat arbitrażowy.

Zarówno bowiem ks. Piwowarczyk jak i Kisielewski uważają państwo za siłę zdolną do podejmowania tej roli obiektywnego sędziego dziejących się społecznych konfliktów. Zagadnienie czy i w jakim stopniu państwo w ogóle wypełniło tę rolę nadaje się na przedmiot osobnych rozważań. Ogólnikowo pragnę stwierdzić, że wbrew sądom marksistów wydaje mi się, że w pewnych warunkach państwo tę rolę mogło wypełniać w sposób mniej więcej zadawalający. Z chwilą jednak gdy na skutek olbrzymich przemian technicznych i ekonomicznych społeczeństwo się skomplikowało i zróżniczkowało w sposób dotąd niespotykany — państwo stało się niezdolne do właściwego wypełniania tej roli. Po prostu, siłą rzeczy, staje się aparat państwowy własnością tej grupy czy klasy społecznej, która posiada dostateczne środki materialne by nim zawładnąć. Solidaryści, przedstawiając swe koncepcje ustrojowe, muszą dziś odpowiedzieć w pierwszym rzędzie na pytanie — gdzie znajduje się ta siła, która gwarantować będzie utrzymanie wymarzonego przez nich idealnego status quo społeczno - ekonomicznego, już nie mówiąc o zagadnieniu skąd znaleźć siłę dla narzucenia go dzisiejszemu, skłóconemu i miotającemu się w sprzecznościach społeczeństwie typu zachodnio - europejskiego. Dlatego też założenia socjalistyczne wysuwają na czoło problematyki nie teoretyczny super - arbitraż, lecz zlikwidowanie najgroźniejszych sprzeczności ekonomicznych, by móc władzy państwowej przywrócić możność działania, zgodnego z nowo ustalonym interesem powszechnym.

Wydaje się nam, że dotychczasowa dyskusja między zwolennikami korporacyjnego a klasyczno-liberalnego systemu reformy ustroju kapitalistycznego grzęźnie w abstrakcji. Ożywi się ona i ukonkretni dopiero wówczas, gdy Kisielewski będzie zdolny do krytycznego przedstawienia nam zrębu ustrojowo - gospodarczej koncepcji neo - liberalnej, ks. Piwowarczyk zaś spróbuje udowodnić wyższość i realność koncepcji korporacyjnej. Ze swej strony podkreślamy nasze przeświadczenie, że nie da się udowodnić realności ani jednej, ani drugiej.

Dotychczasowy przebieg dyskusji pozwala na wyciągnięcie następujących wniosków ogólnych.

1. Ideologiczne założenie liberalizmu nie dadzą się sprowadzić do generalnych haseł wspólnych dla katolickich i niekatolickich liberałów. Inna jest hierarchia wartości i inna interpretacja naczelnego hasła — wolność.

2. Liberalizm nie skonstruował własnej, zwartej doktryny społecznej. Nie ma więc punktu oparcia dla dokonywania ewentualnych przekształceń założeń socjalnych w myśl zasad światopoglądu katolickiego. Wszelkie próby, czynione przez grupy katolickie, działania w oparciu o rzeczywistość liberalistyczną wychodziły więc od praktyki, to jest od ustroju kapitalistycznego, próbując reformować tylko obyczaje społeczne tak po stronie posiadaczy (paternalizm), jak i po stronie robotników (solidaryzm).

3. Głoszona przez Kisielewskiego koncepcja neo - liberalna jest tylko przedłużeniem tego kierunku. Wywodzi się ona ściśle ze szkół konserwatywnych, stworzonych w drugiej połowie XIX wieku przez Le Play'a i biskupa Freppel. Bardziej na prawo od niej znajdowali się już tylko monarchiści, głoszący nawrót do feudalnych stosunków ancien regime.

4. Dyskusja w Tygodniku Powszechnym rozwija się w próżni. W swych sformułowaniach społecznych jest starciem dwóch koncepcji jednakowo utopijnych i jednakowo zdeaktualizowanych. Czasy, gdy katolicyzm ścierał się z liberalizmem, dawno minęły. Dyskusja ta dowodzi, jak dalece oderwani od współczesności są w istocie obaj polemiści. — To zjawisko niebezpieczne.

Dlatego nalegamy — jeżeli koniecznie chcecie się spierać o liberalizm i korporacjonizm właśnie — to przejdźcie do konkretu — spróbujcie sami dać odpowiedź — gdzie, jakimi siłami i z jakim konkretnym rezultatem można próbować Anno Domini 1950 takie koncepcje społeczno-ustrojowe realizować.

Zakładając, że obie strony są najuczciwiej przekonane, że propagowane przez nich ustroje są w stanie zapobiec katastrofalnym skutkom kapitalizmu, uważamy za niemożliwe do udowodnienia, że układ sił współczesnego świata pozwala na realizowanie tego rodzaju teorii.

W. Kętrzyński

*) Z powyższego cytatu wynika jasno, że orientacja konserwatywno-katolicka utożsamiała tendencje korporacyjne z socjalizmem. Wiadomo zresztą, że i Leon XIII obdarzony był, po wydaniu encykliki Rerum Novarum — mianem „socjalisty“. Pragniemy w tym miejscu podkreślić, iż sąd ten nie miał nic wspólnego z ówczesną rzeczywistością społeczną, w której kierunki socjalistyczne i korporacyjne były sobie przeciwstawne. Nieporozumienie wynikało z zacietrzewienia liberałów, zwalczających na jednej płaszczyźnie zarówno umiarkowany reformizm korporacjonizmu, jak i rewolucyjny socjalizm.

Tadeusz KORDYASZ

DLACZEGO JESTEM TOMISTĄ?[1]

JESTEM nim dla jednego powodu: że lubię pełne i porządne myślenie.

Różnię się przeto wielce od Zygmunta Jakimiaka, który nie jest tomistą „dla prawie wszystkich powodów". Ogromnie dużo! Może i dlatego, że lubi kwaśne mleko, że chodzi w spodniach, że nie jeździ na słoniu...

Ale gdybym nawet nim nie był — artykuł jego zachęciłby mnie do przejścia na stronę uczniów mędrca z Akwinu. Bo jeśli tylko na tego rodzaju zarzuty stać zagorzałych przeciwników tomizmu, to musi on być prawdziwy.

Chociaż wypowiedź Zygmunta Jakimiaka jest niepoważna, należy się nią zająć. Naświetla ona bowiem zagadnienie tomizmu w sposób wsteczny i nieuczciwy. Biorąc zaś pod uwagę nikłą znajomość tomizmu wśród katolików polskich, może szkodliwie oddziałać na ich stosunek do tej filozofii.

Nieuczciwością zasadniczą jest wydawać sąd o rzeczy, której się nie zna. Jego artykuł grzeszy śmiertelną ignorancją w tej dziedzinie. Przeczytanie „ABC tomizmu" niestety nie wystarcza. Wstecznictwem jest bronić przestarzałych poglądów i za pomocą sofistycznych rozumowań podważać rewolucyjne i nad wyraz cenne dla naszych czasów osiągnięcia myślowe tomizmu. Pan Jakimiak usiłuje to zrobić, atakując określenie tomizmu O. Bocheńskiego, który pisze: „jest to filozofia naturalna i musi być zdobyta czysto ludzkimi siłami, bez pomocy Objawienia... jest nauką, opartą wyłącznie na doświadczeniu i rozumowaniu."

Panu Jakimiakowi się to nie podoba „jako katolikowi". „A więc filozofia tomistyczna nie bierze pod uwagę wiary katolickiej" — konkluduje triumfalnie. Jako filozof zaś, widzi sprzeczności w tezach O. Bocheńskiego, uważając, że Objawienie chrześcijańskie należy do faktów doświadczenia. Sofistyczny kruczek tego ujęcia sprawy leży w dwojakim znaczeniu słowa „Objawienie", którym autor niefrasobliwie żongluje dla osiągnięcia efektu. Objawienie bowiem można pojmować faktycznie, jako zjawisko historyczne i — przedmiotowo, jako treść objawionych prawd. W drugim znaczeniu bez wątpienia niedostępne jest ono doświadczeniu. Zdanie przeciwne — to nie tylko nonsens, ale i herezja, której pan Jakimiak „jako katolik" zapewne nie chce. W pierwszym znaczeniu, jako fakt, mający miejsce w określonym czasie i przestrzeni — jest wprawdzie dostępne dla doświadczenia, ale w jak ograniczonej postaci!

Objawienie otrzymuje jedna, lub nieliczne grono osób, w celu przekazania go wszystkim ludziom. Ci, którzy byli świadkami Objawienia, rejestrują je osobistym przeżyciem— wszyscy inni muszą jedynie im wierzyć, że taki fakt zaistniał. To wszystko.

Faktem jest na przykład historycznym, że niegdyś chodził Chrystus po ziemi i pewnym ludziom objawił istnienie w Bogu Trójcy Świętej. Dlatego dzisiaj wszyscy katolicy, pouczeni o tym przez Kościół, wierzą w Trójcę Świętą. Ale żaden z nich nie tylko, że nie doświadcza zmysłowo, czy umysłowo Trójcy Świętej, ale również nie doświadcza samego faktu objawienia tej tajemnicy przez Chrystusa. Pomijamy naturalnie doświadczenia mistyczne niektórych świętych, niewyrażalne w mowie ludzkiej. Tak się ma sprawa z wszystkimi prawie prawdami Objawienia (dogmatami), w które wierzymy, opierając się na autorytecie Kościoła św.

Autorytety zaś nie mogą być instrumentem poznania filozofa, co mocno podkreśla na początku swojego manifestu pan Jakimiak, chcąc usprawiedliwić swój atak na św. Tomasza, który właśnie jest chorążym tej prawdy!

Który mądrze wyjaśnił, że chociaż wiara i wiedza (jako zespoły prawd) nie są ze sobą sprzeczne, to akt wiary i akt poznania w człowieku w stosunku do tego samego przedmiotu — wykluczają się wzajemnie. Gdy ktoś wiarogodny mi przysięga, że w moim ogródku jest zakopany skarb — ja wierzę w obecność tego skarbu pod ziemią. W chwili zaś, kiedy go odkopię i zobaczę — przestaję wierzyć, bo wiem, bo poznaję oczyma.

Św. Tomasz uporządkował zagmatwane i niebezpieczne dla rozwoju myśli chrześcijańskiej ujęcia stosunku wiary do wiedzy, uratował ją od fideizmu, rozdzielił wyraźnie teologię (rozumowanie, oparte na Objawieniu) od filozofii (rozumowanie oparte na doświadczeniu), założył podwaliny zdrowego, nowoczesnego, komunikatywnego dla wszystkich systemu myślenia, przypinając skrzydła filozofii katolickiej i stwarzając jej warunki wspaniałego rozwoju.

Pan Jakimiak aż pali się do zburzenia świetnego tego dorobku, który śmie demagogicznie nazywać „przeżytkiem i zacofaniem". Chce za wszelką cenę wymazać z kart historii metodologiczne osiągnięcia tomizmu.

Bardzo też błądzi i innych wprowadza w błąd pisząc, że „filozofia tomistyczna nie bierze pod uwagę wiary katolickiej". Ignorując tomizm, nie wie on, że właśnie jedną z zasad tomistycznych jest przyznanie teologii, jako władzy wyższego rzędu, roli kontrolnej wobec filozofii. Polega ona na uznawaniu za fałszywe każdego zdania filozoficznego nie dającego się pogodzić z prawdą teologiczną. Jest to rola kierownicza, ale tylko w sensie negatywnym, zewnętrznym, gdyż filozofia rozwija się w swej dziedzinie samodzielnie, niezależnie od teologii. Zasadami jej są prawdy podstawowe, których widoczność narzuca się sama przez się inteligencji, podczas gdy zasadami teologii są prawdy objawione przez Boga.

Według św. Tomasza więc, filozofia, dyscyplina naukowa zupełnie różna od teologii i wewnętrznie autonomiczna, nie jest od niej odcięta.

Będąc wolna, najbardziej pośród wszystkich innych nauk, jest ograniczona w swojej wolności z racji roli służebnej — ograniczona w wolności błądzenia drogami Objawienia.



Św. Tomasz z Akwinu

Panu Jakimiakowi „bardziej odpowiada" św. Augustyn. I w tym również objawia swoją wsteczną postawę. Św. Augustyn bowiem nie stworzył ścisłego systemu filozoficznego. Jego dzieło, o kapitalnej wadze dla chrześcijaństwa, jest jeszcze stopem teologii, poezji i filozofii. Odegrało ono swą rolę w wieku piątym, nie wystarczało już dla wieku trzynastego.

I zapomina o tym Jakimiak, a raczej nie wie, że w swoich dziełach Tomasz cytuje Augustyna ponad dwa tysiące razy, zawsze się z nim prawie zgadzając. Znał go trochę lepiej, niż Jakimiak. Więcej go, niż on, cenił i lepiej, niż on, rozumiał. Wszystko, co najlepsze z wielkiego biskupa Hippony w swój uniwersalny system wchłonął — postępując naprzód.

Fałszywe natomiast całkowicie jest twierdzenie, że Augustyn znał „doskonale" Arystotelesa. Rzucanie z tupetem podobnie mylnych informacji jest zadziwiającym świadectwem naprawdę beztroskiego i pogardliwego obchodzenia się z historią, która dokładnie już wyrysowała drogi przenikania arystotelizmu do świata chrześcijańskiego. Pierwszym z filozofów średniowiecznych, który przełożył na łacinę logikę (Organon) Arystotelesa był Boecjusz, urodzony pół wieku po śmierci Augustyna.

Św. Augustyn słabo znał grekę. Cytując własne jego słowa z Wyznań, „nienawidził nauki języka greckiego". (Wyznania, ks. I. r. 13). Język zaś filozoficzny Arystotelesa jest bardzo trudny. Trzeba wielu lat mozolnej pracy, aby pojąć i przyswoić sobie terminy, jakimi się posługuje, w znacznej części neologizmy, urobione przez niego. Do takiej pracy brakło Augustynowi źródeł i pomocy naukowych, którymi dysponował Tomasz z Akwinu, dzięki twórczym wysiłkom filozofów arabskich XI-go wieku. W dziełach Augustyna nie spotykamy zresztą nigdzie śladów takiej pracy, ani dowodu głębszej znajomości Stagiryty. W „Wyznaniach", które są skrupulatną kroniką jego życia, znajdujemy zaledwie wspomnienie, że niegdyś w młodości przeczytał i zrozumiał (ks. IV r. 16) pewną część logiki dialektycznej Arystotelesa, t. zw.

(dokończenie na str. 8)

[1] Z okazji artykułu Zygmunta Jakimiaka p. t. „Dlaczego nie jestem tomistą" w Nr 30 „Dziś i Jutro".

Anna POGONOWSKA

Wiersze

ROZUM PRZEJRZY JAK SZAWEŁ

A może — jeśli myśl
Na krzyżu zawiśnie wiary
Jeżeli na ofiarę
Odda nadludzki swój kształt —
Nadleci biały ptak
I w Duchu zmartwychwstały
Rozum przejrzy jak Szaweł.

Głazy materii w szmer zamieni,
W brzmienie, w muzykę — jak liście
Kiedy śpiewają pod tęczy rozbłyskiem,
Gdy deszcz opada w korzenie.

Miłością ożywi proch ziemi
Czas stanie — łzą upadnie
Przed Boga tron. Gorący
Uścisk obejmie nas.

BYT

Ile przeszumiało strumieni
Ile gwiazd potraciły noce —
Zawijały ciała w przystań ziemi
Serca niebijące
Spadały jak kotwice
Niepotrzebne dla cieni.

Łączyły, chwytały się dłonie —
Łza miłość zapalała —
Bolał na wargach
Uśmiech nieludzki promień.

W świtaniach cierni
Nad bryłą zmian
Karmi jej kształt
Wzrokiem Bóg wierny.

NAUKA

Chrystusie! Gdy na drzewie żywicznym
Zamykałeś powieki spadając w dół śmierci,
Kiedy Bóg z Twego prochu wychylał się wielki,
Ludzkie nad nami litowały się łzy.

Boże umierający! Znasz oddech konania —
Powietrze rani pierś. Ciemności.
Chcemy nauczyć się zmartwychwstania
Wzniesieni na krzyżu prostym.

PROCESJA

Liście białe od słońca, nikliwe od brzmienia
Dzwonu, który lazury, strumiennie ocienia —
Spadają świergotliwie ptaki na pozłotę
Murawy ciemnej, śnieżnej od kwiatów, wilgotnej

Małe dzieci ubrane w sukienki tęczowe
Chylą głowy puszyste, krągłe, morelowe
Przed monstrancją co pała — jak rana i strzała —
Dym wonny balsamuje chwilę żeby trwała.

Rudolf WYL

KRÓL I WIEJSKA

(Fragment powieści

W szóstym dniu marca 1429 roku pod bramami Chinonu staje mała grupa konnych, czekając na otwarcie miejskiej bramy.

Marszałek dworu królewskiego, hrabia de Goncourt wysyła na spotkanie przybyłych pana Virville i kilku paziów. Joanna wysłuchawszy grzecznego powitania pana Virville przy pomocy rycerza z Metz zsiada z konia. W swój zwykły bezpretensjonalny sposób żąda, ku uciesze paziów, aby poprowadzono ją do króla.

De Viriville odpowiada, że polecono mu tylko, by troszczył się o jej zakwaterowanie.

Joanna zmęczona długą jazdą konną, drżąc z zimna, patrzy niespokojnie na mężczyzn, którzy jej dotąd towarzyszyli.

Paziowie z gotowością chwytają za uzdy konie, rycerzom wolno natomiast stanąć przed majestatem królewskim.

„Każda zwłoka" — nalega Joanna — „zwiększa niebezpieczeństwo zagrażające Orleanowi. Z każdą chwilą upływa coraz więcej krwi francuskiej"...

Pan de Virville rozkłada bezradnie ręce. Towarzyszący Joannie rycerze żegnają się z nią pośpiesznie. Jan z Metzu dodaje jej otuchy; Joanna patrzy za nimi, dopóki nie znikną z oczu.

Znowu wraca spojrzeniem ku wysuszonej, jak gomółka sera, twarzy marszałka dworu i nagle czuje się nieszczęśliwa i osamotniona.

Jej wieś rodzinna zdaje się leżeć gdzieś na krańcu świata.

Jeden z paziów ujmuje za uzdę konia. „Proszę iść za mną".

Idą ciemnymi uliczkami, mgła coraz gęstsza; wzrok z trudem wybiega kilka kroków naprzód.

Pan de Viriville wyjaśnia rozmownie, że Trémoille, jego towarzysze, eminencja Regnault z Chartres i wiele innych wybitnych osobistości radzą właśnie in consilio maiorum suae curiae.

Joanna otula się szczelniej płaszczem. Stają przed jakimś ponurym domem. Mgła zasłania wejście, z trudem przebija się przez nią blask małej lampki. W tej ciemnej gospodzie lokuje pan de Viriville dziewczynę z Domremy. Nie dostrzega ona prawie wcale ludzi, którzy wskazują przeznaczony dla niej pokój. Na pożegnalny ukłon pana de Virville w ogóle nie zwraca uwagi.

„Zwykła dziewka wiejska" — myśli oburzony pan. Odchodzi szybko, aby opowiedzieć swoje wrażenie innym dworzanom.

Pokój, w którym — zdjąwszy płaszcz i pancerz stoi Joanna, jest zimny, pusty i wilgotny. Jakiś wyrostek roznieca ogień w kominku i obrzuca ją bezczelnymi spojrzeniami. Wreszcie Joanna zostaje sama, siada przed kominkiem i nieruchomo patrzy w żar ognia.

„Nie wpatruj się w płomienie" — powiedziałaby teraz w domu matka, gdyby — tak, gdyby Joanna była w domu.

Nagle widzi siebie przed rodzinnym kominkiem w chwili, gdy zbierają się wszyscy do wspólnej modlitwy. Zdaje się jej, że słyszy głos matki, ale z półmroku wynurza się tylko kłótliwa twarz starej służącej, którą przysłano z dworu królowej, by posługiwała Joannie.

Joanna kręci głową. Nie, ona nie potrzebuje służącej. Kiedy będzie mogła widzieć się z królem.

O tym, czy będzie mogła ujrzeć króla, odpowiada stara pokojówka i unosi ku górze cienkie brwi, zdecyduje jego eminencja ksiądz arcybiskup Regnault z Chartres.

Mówiąc, stoi w drzwiach, ręce na które spadają długie rękawy splotła na piersiach. Wygląda jak jakaś olbrzymia wrona.

„Możecie już odejść" — mówi Joanna. — „Nie będę was potrzebowała".

Wrona kracze w odpowiedzi, że nic to ją nie obchodzi, że nie przyszła tu na jej życzenie, lecz jedynie z nakazu tej, której ona, służąca, jest posłuszna.

Joanna odchodzi więc od miłego ciepła przy kominku i udaje się do sypialni, zaryglowując drzwi za sobą.

Wrona wraca do siebie rozgadując po drodze, że Joanna to jakaś kłótliwa, ordynarna dziewka od dojenia krów.

Zwrócono na to uwagę w pokojach służby i kuchni. Lokaje naśmiewają się i kpią, na korytarzach, w cieniu nisz okiennych,, opowiadją sobie tłuste na ten temat dowcipy.

Pan de Goncourt mówi do królowej: „De Viriville uważa tę dziewczynę za oszustkę".

„Powiemy to królowi" — odpowiada Maria ze swoim miłym, bladym uśmiechem, ukrywającym zakłopotanie.

— „Nie, Wasza Wysokość. Musimy uchronić złudzenie króla, jak długo tylko to jest możliwe. Boję się, że to jego złudzenia ostatnie".

Maria uśmiecha się boleśnie. W sali bankietowej La Hire śmieje się złośliwie w gronie rycerzy.

„Xaintrailles i ja byliśmy dzisiaj z wizytą u króla. Chudy ogon barani pływał w ciepłej zupce. Wybladły król mówił nam, że właśnie wczoraj się przejadł, że nie jest głodny. Ale Xaintrailles i ja nie podzieliliśmy się tym baranim ogonem. Współczuliśmy zdechłemu baranowi, który zginął śmiercią głodową".

„Znowu grzeszycie i kiedyś na pewno będziecie się smażyć w piekle" — upomina go La Trémcille.

„Będzie się smażył razem z tą dziewką od krów" — dodaje Xaintrailles mrużąc dowcipnie oko.

Wszyscy śmieją się głośno.

*

Tymczasem Karol przyjmuje znowu mężczyzn, którzy towarzyszyli Joannie „w jej pełnej przygód podróży" — jak to określa biskup Regnault z Chartres, uczestniczący w obydwu audiencjach.

Ale ani Jan z Metzu, ani Bertrand z Poulengy nie dają się wprowadzić w błąd. Pełni żaru, jak apostołowie, którzy świadczyli za swoim Panem Jezusem Chrystusem, stoją młodzi ludzie po stronie Joanny.

„Lecz cóż to za figury — myśli Regnault z Chartres. Nie rycerze! Mali lennicy. Ich świadectwo nic nie znaczy". Joanna wygląda na bardzo zwyczajną dziewczynę. Dziecko ludu, wierne, skromne, pobożne — to prawda, ale czy król nie oczekiwał czegoś więcej?

Sam król tego nie wie.

Czy to nie wystarcza jednak, że ci mężowie, nawet wysłannik króla, nawet łucznicy z garnizonu Chinońskiego, nawet Coles de Vienne. Ryszard, mówią o tej dziewczynie z wyrazami największej czci i podziwu?

„Mężczyźni łatwo ulegają czarom"— odpowiada arcybiskup.

Ale już tworzy się inne stronnictwo, zafascynowane Joanną, dyskutujące ni᾽zwykłość wydarzenia; któż bowiem może pozostać obojętny wobec niesłychanie silnego wrażenia, jakie wywierała dziewczyna?

Młody książe d'Alençon polował akurat na przepiórki w Saumune, gdy dźwięk rogu myśliwskiego oznajmił mu; ze wydarzyło się coś niezwykłego. Pośpieszył naprzeciw swego wiernego pazia. Pozostawił przepiórki w spokoju i pognał z powrotem do Chinonu, aby stać się świadkiem pierwszego, pamiętnego wystąpienia Joanny na dworze królewskim.

*

Pochodnie jasno oświetlają makaty i herby zawieszone nad wejściami do wielkiej sali tronowej. Zebrało się tutaj przeszło trzystu wybitnych rycerzy królestwa francuskiego, wspaniale wystrojonych kawalerów wysokich rodów. Naprzeciw nich, w blasku szlachetnych kamieni, czekają damy. Tłum szlachty niższego pochodzenia wypełnia tyły sali. W środku stoi tron ocieniony purpurowym baldachimem. Ci, którzy mają prawo stać w jego pobliżu, z godnością zajmują swoje miejsca.

Król spogląda z natężeniem wokoło. Nieoczekiwane powodzenie wojenne potrafiło by może zmienić jego okropny los. Żadnego z dowódców, którzy mogli opuścić swoje oddziały, nie brakuje w tej sali. Na wszystkich obozach heroldowie ogłosili zamiar króla, który zapragnął przyjąć na zamku w Chinonie dziewczynę z Domremy.

Głowy wodzów rysują się wyraźnie i spokojnie na tle kobiecych niemal twarzy i połyskliwych strojów dworzan. La Hire Xaintrailles stoją na przedzie obok siebie. Z Pikardii, Bretanii, Gaskonii i Lotaryngii przybyli dzielni mężowie do zamku chinońskiego, aby ujrzeć cudowną dziewczynę. Rozgłos jej niezwykłości, ba, świętości był szybszy, niż ona sama. Zatroszczył się o to pan de Baudricourt. Historia tej dziewczyny, im więcej czasu upływało od jej odjazdu. wydawała mu się coraz bardziej niezwykła i coraz wspanialsza.

Gdy tylko Joanna opuściła Vaucouleurs zaczął Baudricourt pisać listy. Do swoich przyjaciół z czasów młodości, do towarzyszy broni w tej wojnie, do wszystkich ludzi, których zdanie sobie cenił i których szacunek dla siebie chciał utrwalić.

Opisywał Joannę i jej rolę w narastających wydarzeniach dziejowych z najmniejszymi szczegółami. Przyznając się do swoich początkowych wątpliwości teraz wyznawał, że wolałby raczej umrzeć, niż ujrzeć to cudowne stworzenie zdemaskowane jako oszustkę.

Listy jego spotykały się z legendarnymi już pogłoskami, z obwieszczeniami heroldów, z rozkazami króla.

Anglicy, dla których to nie było tajemnicą, śmieli się tylko. Nie śmieli się jednak dowódcy francuscy w różnych obozach wojennych i garnizonach. Nie do śmiechu im było. Zwłaszcza w Orleanie. Nawet wesoły zwykle Dunois stał się poważny i posępny.

Ale oto zaświtała nagle nadzieja. Zjawiła się Joanna jak gdyby wizja świetlana: święty Michał w postaci dziewczyny, pogromca smoków z długimi lokami, amazonka, która, zstępując z nieba na potężnym rumaku, pragnie uratować Francję.

„Dziewka, którą siepacz powinien osmagać" — mówi Anglik Bedfort.

Jednak la Hire i Xaintrailles myślą inaczej. Wojsko się rozprzęga. Nikt nie ma do nikogo zaufania. Żołnierze nie ufają dowódcom, dowódcy nie ufają żołnierzom, żołnierze i dowódcy nie ufają królowi.

Niezwykle ciężka jest ta zima. Nadchodząca wiosna pod płaszczem utkanym z kwiatów niesie nieszczęście.

W tak beznadziejnej sytuacji chwyta się każdą szansę ratunku. Dunois przybyłby także do Chinon, gdyby go tylko Anglicy wypuścili z miasta. Ale oni otoczyli Orlean tak ciasnym pierścieniem, że oblężonym brak niemal powietrza. Przybyła nowa armia angielska, sześć tysięcy ludzi dobrze odżywionych, chciwych boju, wyposażonych obficie w amunicję i działa.

A w Orleanie ludzie umierają jak muchy — z głodu.

Joanna zyskała już rozgłos we Francji obsadzonej przez wroga. Żołnierze układają pieśni na jej cześć. Kobiety modlą się za nią. Im dalej znajdują się ludzie od miejsca, w którym pojawiła się Joanna, tym mocniej działa ona na ich fantazję. Odległość stwarza legendę.

Dowódcy dowiadują się o niezwykłej sile tej dziewczyny, sile, której nie potrafi wyrazić żaden opis, której nie wyjaśni żadne tłumaczenie.

Może Bóg rzeczywiście zechce w ostatniej godzinie uratować Francję? Bóg może zesłać żołnierzy i prowiant. Bóg może wyzwolić Orlean. Diabeł też to potrafi, a oni, dowódcy, każdą pomoc przyjmą chętnie.

Oto stoją obok marszałka Saint - Sevére · kapitanowie Coulant, Plorent, Deillier, Jan de Lescol, de Verduran.

Wojenny obraz obok barwnego malowidła szlachty i obwieszonych drogimi kamieniami księżniczek.

„Może, może — myśli pan Gilles de Rais, gdy stojąc w pobliżu tronu odwraca głowę i dostrzega nagle młodego księcia Allencon — może rzeczywiście jakiś ratunek."

Ten dziwak, który opłacał całą niemal armię magów i alchemistów, jak gracz, zawsze skłonny do wiary w odmianę losu, ufał i teraz kaprysem nieznanych gwiazd.

Król wzywa Gillesa de Rais do swego tronu. Postanowił wystawić Joannę na próbę.

— „Wasza Wysokość dziewica obdarzona przez Boga wszystkowiedzącym spojrzeniem"...

— „Kto wam powiedział, że jest nim obdarzona?"

Gilles de Rais często mówi to, co mu się przywidzi w danym momencie, to, co mu podszepnie jakaś nieodgadniona siła, wabiąca go jak motyl małego chłopca.

„Dziewica" — powtarza zmieszany i przesuwa białą dłonią po czole.

„Zamienimy się na miejsca. Wy zajmiecie moje na tronie..."

Dziwnie spojrzał na niego Gilles de Rais. Król bojąc się utraty reszty prestiżu działa szybko, aby skończyć z tą dwuznaczną sytuacją. Zaprasza Gillesa de Rais na swoje miejsce, zarzuca mu na ramiona płaszcz królewski, schodzi szybko z podwyższenia tronowego, aby wmieszać się pomiędzy najprzedniejszych rycerzy.

Damy zaczynają się śmiać, zanim zdziwieni mężczyźni połapali się, o co chodzi. Jego Wysokść zarządził przedłużenie zabawy maskowej na kilka miesięcy!

> Quanta è bella giovinezza
> Che si fugge tuttavia!
> Chi vuol essez licto sia:
> Di doman non cè certezza!

Gilles de Rais w roli króla karnawału podoba się damom! Tylko jego żona, żona półgodzinnego króla, nie śmieje się z innymi. Ona zna fantazje swojego męża.

Gilles jako władca Francji! A biedny król, gdzież on? Obracają się wszystkie głowy. Ach, patrzcie, oto blady Karol! Słaby, smutny król! Zginie wśród swoich paladynów! Nie mo go już prawie, zginął wśród możnych panów Francji!

Nagle trąby dają znak: spokój, spokój! Coraz głośniejszy śmiech pań, podkreślony basem mężczyzn powoli ucicha. Otwierają się drzwi, pokojowy melduje:

— Joanna d'Arc.

Ogólny porządek etykiety jakby się zachwiał, damy skupiły się przy wejściu. każda chciała zobaczyć pierwsza tę nieznaną, legendą już osnutą dziewczynę. Mężczyźni także przysunęli się bliżej.

Gilles de Rais skłonił trochę głowę i przechylił ją na bok, jak diabeł, który szacuje biedną duszę. La Trémoille poprosił głośno, aby zważano na obecność jego królewskiej mości. Mężczyźni, dostrzegając nagle niewłaściwość swojego zachowania, zastygli bez ruchu, jak posągi. Tylko wśród dam słychać jeszcze cichy chichot.

Piękna, młodzieńcza postać z ciemnymi lokami, z blaskiem zapału w oczach idzie rycerskim, sprężystym krokiem poprzez salę.

Zygmunt LICHNIAK

ANIOŁ WOLNOŚCI

Postać Joanny d'Arc wielokrotnie już przykuwała uwagę historyków, hagiografów, poetów i powieściopisarzy. Opisowi jej wędrówki poprzez różne dziedziny piśmiennictwa, poprzez literaturę piękną wielu krajów i wielu okres[illegible] można by poświęcić ciekawe i na pewno pouczające studium. Monografia tak specjalnego i z natury swojej głębokiego tematu ukazałaby chyba dokładniej i sam temat i rozmaitość koncepcyjną w jego traktowaniu. W tej rozmaitości koncepcyjnej drogą analizy i porównania możnaby uchwycić signa specifica nie tylko techniki, czy konwencji pisarskiej poszczególnych epok lub pisarzy, ale także — co ważniejsze— ich charakterystyczne reakcje na jedno z najciekawszych, najgłębszych i najtrudniejszych zjawisk życia nadprzyrodzonego, na bezpośrednią niemal ingerencję łaski, na bezpośrednie prawie powiązanie tego, co da się powąchać, dotknąć, zważyć, opisać, skatalogować w historii, z tym, co jest ponad historią, chociaż i historią jest także.

Monografia tematu, będącego literacką transfiguracją tak ważnego zagadnienia stanowiłaby udium ciekawe nie tylki dla teologa, ale i dla socjologa, nie tylko dla krytyka cz[illegible] pisarza, ale i dla czytelników, nie tylko dla katolika, ale i dla człowieka niewierzącego. Wszystkich musiałby zastanowić już sam fakt żywotności tematu, a więc i żywotności kryjącego się w nim zagadnienia. A różnice w rozwiązaniach były[illegible] — jeszcze raz to przypomnieć warto — pouczającym ukazaniem niepokojącego lub dającego spokój największy uroku łaski.

Autor takiej monografii nie potrzebowałby szukać u drugorzędnych pisarzy interesujących go utworów. Nawet jeśli nie zafrapowałyby go dzieła historyczno - hagiograficzne, (dzieła tej miary co M. Sepeta, G. Hanotaux'a, H. Debout'a, P. de Julleville'a czy Leclerc'a), nawet jeśliby ograniczył nazwiska pisarzy o światowej sławie, nazwiska pisarzy tak wielkich jak Voltaire, Schiller, France, Shaw, a naprzeciwko Charles Peguy, Paul Claudel, Bernanos, czy spośród mniej znanych Delteil, lub Lang.

Zainteresowani wędrówką Joanny d'Arc po Polsce odnaleźliby jej ślady w mickiewiczowskim wolnym przekładzie „Darczanki". w wywodach Libelta, później w artykułach ks. Jakubisiaka (o czym nawet Jakimiak nie wie), w poemacie (prozą) J. Wołoszynowskiego, wreszcie w powieściach Zawiszanki i „Dwóch stosach" Dobraczyńskiego.

Już to krótkie (szkicowe tylko i bardzo niepełne) wyliczenie budzi żal, że takiego pomysłu monograficzneg[illegible] nikt do tej pory u nas nie zrealizował. Żal wzrasta, gdy pomyśli się o każdej ze wspomnianej pozycji. Jakże charakterystyczne jest np. wprowadzenie konfliktu miłosnego w schillerowskiej „Jungfrau von Orleans" Ileż mówi, tłumaczy i obiecuj[illegible] podejmowany w różnych okresach, ale przeprowadzany z jednakową pasją kpiarską atak Volaire'a, Shaw'a, France'a. Jak wyrazista jest podjęta spontanicznie obrona Peguy'a, Claudela, Bernanos'a.

W soczewce jednego tematu ogniskują się i krystalizują histrycznie zrozumiałe, światopoglądowo uzasadnione kontrowersje, wybucha niezamierzona polemika, rozwija się wspaniała dyskusja literacka. Nie pachnie ona wcale seminaryjną nudą. Przeciwnie: emocjonuje i cieszy wynikiem, o który można być dziwnie spokojnym. Dlatego warto wierzyć. że monografia tego typu doczeka się we właściwym czasie swojego autora.

Przed tym jednak dla czytelników polskich, a może i dla autora owej monografii będzie chyba rzeczą pożyteczną zapoznanie się chociażby drogą pośrednią z nową książką o Joannie d'Arc.

Jest nią „Anioł wolności"*). Książka ta przywędrowała ze Szwajcarii z jak najlepszą rekomendacją, obwolutowy anons wzniecił jeszcze większe zainteresowanie i nadzieję, lektura powieści zaś, chociaż może zaszkodziła jej trochę przesadna reklama, nie pozwala, zwłaszcza w warunkach polskich, skazywać pracy Rudolfa Wyla na przemilczenie.

Autor pokusił się o zbeletryzowanie świętej z Domremy. Wszystkie znane fakty historyczne zostały przez niego uwzględnione w porządku chronologicznym, wmontowane w tok epickiej narracji powieściowej i wykorzystane jako punkty węzłowe dosyć prostej konstrukcji fabularnej.

Zaczyna autor od krótkiego, nie d[illegible] zresztą pogłębionego opisu epoki, a właściwie nurtujących ją konfliktów polityczno - moralnej natury. Niedwuznacznie przemyca w opisie wstępnym sugestię, że pomóc może Francji, a prawdopodobnie i ludzkości, którą ma ona chyba symbol[illegible]wać, tylko bezpośrednia ingerencja łaski. Charakterystyka środowiska rodziny d'Arc'ów i wizerunek Joanny, jako beztroskiej pasterki lotaryńskiej prowadzą już bezpośrednio do przedstawienia triumfalnego jej pochodu przez fo[illegible] historii.

---

*) Rudolf von Wyl: Johanna d'Arc, Eypel der Freicheit, Verlag — Otto Walter Olten, Switzerland, 1947, s. 355.

DZIEWCZYNA

p.t. „Anioł wolności")

Złośliwe, chłoszczące uśmieszki, jak larwy wylęgłe w piekielnych czeluściach, zabiegają jej drogę. Ale Joanna nie zwraca na nie uwagi, zbliża się do tronu. Gilles de Rais uśmiecha się do niej dobrotliwie. Piękna z tej dziewczyny oszustka i bardzo mu przykro, że musi ją zdemaskować.

„Może lepiej było by całą tę eskapadę skończyć?" — szepcze Goncourt.

— „Ależ ona jest przecież świętą"— odpowiada ochryple La Hire.

Chichot dam cichnie nagle. Na sali panuje śmiertelna cisza. Oczekiwano prostej dziewczyny, właśnie nie skromnej, ale według tego, co dotychczas o niej słyszano, raczej zaciętej i onieśmielonej fałszywym blichtrem tronowej sali, który wydawać się może prawdziwym blaskiem.

A oto stoi przed nimi piękna młodzieńcza postać w czarnym kaftanie, z ciemnymi, na modę augustiańską równo przyciętymi włosami, prosta i dumna. Nic w niej nie ma z lęku i zażenowania, ale też nic z natręctwa. Można poznać, że to dziewczyna po lekkim chodzie, o łagodnych oczach, delikatnym owalu twarzy i krągłości podbródka.

„Ona jest piękna — myślą damy dworskie. Nie potrzebuje szminki, nie farbuje sobie także włosów" — dziwią się. Przewyższa swą urodą najpiękniejsze kobiety, nawet wielu mężczyzn.

Zdrowy, skromny, a jednak pewny siebie wstąpił naród francuski w postaci Joanny d'Arc do zamku królewskiego w Chinonie.

Czy Gilles de Rais poczuł się w tej chwili w mocy sił nadziemskich?

Joanna podeszła do tronu. Przelotnie spogląda na Gillesa, jej oczy szukają. Potem idzie lekko i pewnie, jakby prowadziła ją dłoń anioła. Idzie w kierunku ukrytego wśród dworzan króla.

Staje przed niewidocznym jeszcze spośród otaczających go postaci. Dzieli ją od niego kilka zaledwie kroków. Stoi przed nim mocno, dobrze zbudowana wieśniaczka, nie mająca jeszcze lat 17-tu owiana zapachem łąk, zbóż, spokojem cichych nocy swej ziemi rodzinnej. Ma boską zdolność dostrzegania widzialnej różnicy między tym, co dobre, a tym, co złe, między tym, co wstrętne, a tym, co piękne. Gillesa widzi jako cień, jako postać mroku.



Niemożliwe, aby cień był królem, aby król był postacią mroczną. Musi go szukać gdzie indziej!

Wokół Karola widzi światło, słyszy prześliczne dźwięki i czuje woń cudowną.

On jest królem! On lśni purpurą, jego działa blask królewskich przeznaczeń!

Tak poznaje Joanna króla. Głosy kierują nią tylko. W głębokich lasach Lotaryngii, gdzie czas stał się ciszą wieczystą, Joanna była poddana próbie. Teraz widzi — nie patrząc, wie — nie słuchając.

Można to nazwać intuicją, może to być cudem, może nie być cudem. Któż potrafi sprawy tak subtelne i złożone, jak woń, czy barwa zamknąć w rygory surowej logiki?

„Dieus vous doint bonne vie, gentil roy! Szepce Joanna na kolanach.

Jakże jest szczęśliwa! Nareszcie! Nareszcie klęczy przed królem Francji, przed namiestnikiem Bożego porządku na ziemi!

Karol spogląda zmieszany w jej jasne oczy. Może wierzy w tej chwili w jej posłannictwo? Ale, jeśli Bóg ją zesłał ku niemu, Bóg zezwoli, aby ją poddać próbie.

— „Ja nie jestem królem, Joanno, — mówi wskazując na Gillesa de Rais.

Joanna, jak gdyby poznając się na żarcie i jak gdyby biorąc w nim udział, odpowiada niemal wesoło z łagodnym uśmiechem na ustach: „Na Boga, szlachetny książę, wy jesteście królem i nikt inny".

Gilles de Rais, milcząc schodzi z podwyższenia tronowego. Nikt nie zwraca na niego uwagi, ale król rośnie. Przerasta siebie, salę. Zdaje się rosnąć ku gwiazdom, a wraz z nim to naiwne klęczące przed nim dziewczę, otoczone nagle wybuchłą burzą entuzjazmu całej Francji. Damy klaszczą w dłonie. Panowie, pobladli ze zdziwienia, klaszczą także.

Wodzowie armii królewskiej uciekają. La Hire pociera podbródek. On wierzył, że nie, kto chce zwyciężyć, nie może, choćby diabli mieli go za to porwać do piekieł, nie może całej tej historii zwrócić przeciwko sobie. „Do nas, dowódców, należy teraz pozyskanie Joanny dla nas, tylko dla nas i dla wojny. Jest ona ziemskim archaniołem, z nią zwyciężymy!"

Książę d'Alençon postąpił krok naprzód. Coś go ciągnie ku tej cudownej dziewczynie.

Król wchodzi powoli po stopniach tronu. Joanna, powstawszy na jego rozkaz z klęczek, zwraca ku niemu płonącą szkarłatem twarz, wyrazistą i piękną twarz pasterki, która — chciałoby się powiedzieć — jest twarzą niesplamionego jeszcze żadnym grzechem człowieczeństwa.

„Gentil Dauphin — mówi — nazywam się Joanna. Król nieba śle mnie do was, abyście mogli koronować się i namaścić olejami świętymi w Reims, abyście mogli zostać chorążym Pana Niebiosów".

Ta krótka, z szlachetną prostotą wypowiedziana mowa, pogrążyła zebranych w głębokim zamyśleniu.

Karol VII chorążym Króla Niebiosów!

Królowa Maria szlocha cicho. Wykpiwany, otoczony obojętnymi i wrogami, wzrasta król w cudowną legendę swojej obrończyni. Szybko wraca do siebie. To, co niepewne, minęło.

O n j e s t k r ó l e m!

Musi przemówić jak król. Przemawia, ale nie wie właściwie, jaki jest sens jego słów. Światło niebiosów rozlewa się ponad nim.

Wszyscy milczą. Wszyscy przysłuchują się jak Karol z niespotykaną u niego dawniej łatwością stawia wiele pytań Joannie. Pyta o jej wieś, rodzinę, życie, wreszcie o powołanie jej przez Głosy do misji, którą spełnia.

Joanna odpowiada w normalny, ludzki sposób, spokojnie, bez gniewu, bez silenia się na jakąkolwiek pozę. Było tak i tak, a teraz oto stoi tu w imieniu Boga.

Wypytał ją o wszystko, co go interesowało. Teraz milczy i spogląda na nią. I nagle przypomina mu się jego modlitwa. Bóg zna jego cierpienia, może wie to dobre dziecko, gdzie powinien się uciec, gdy wszystko stracone. Koronacja w Reims — Boże, trzeba by wyzwolić Orlean, potem przedrzeć się przez armię angielską...

Niemożliwe!

Spojrzenie Joany spoczywa na nim pełne łagodnego blasku dobroci i poddania, nawet żarliwej czci, bo czyż nie jest on chorążym zastępów niebieskich.

I oto zaczyna mówić bez zająknienia, sama wsłuchując się jakby w obcy pełen siły głos:

— „P o w i a d a m c i w i m i e n i u P a n a, ż e ś t y j e s t p r a w d z i w y m d z i e d z i c e m t r o n u i s y n e m k r ó l a. B ó g w y s y ł a m n i e, a b y m p o w i o d ł a c i e b i e d o R e i m s, b y ś t a m o t r z y m a ł k o r o n ę i z o s t a ł n a m a s z c z o n y, j a k t e g o p r a g n i e s z"

Król pobladł. Jest tak blady, że zwraca to ogólną uwagę.

P r a w d z i w y d z i e d z i c t r o n u! S y n k r ó l a!

Karolu wielkie zmiany zajdą w twoim życiu.

Oczy wszystkich zebranych w sali ścinają się w nieruchome kryształy. Coś się dokonuje w tej chwili? Co oznacza nagła przemiana króla? Co powiedziała ta dziewczyna z Lotaryngii?

„Skąd wiesz, że..." — jąka król cicho.

Joanna kręci głową. Nie umie dać odpowiedzi.

Czyż nie prosił Boga o jakiś znak? Oto on: jest prawdziwym dziedzicem tronu.

Króla nagle chwyta lęk, że to wszystko jest tylko złudzeniem, że to wszystko może się okazać nieprawdą.

— „Do jutra" — mówi z trudem. Ręce mu drżą, wargi nabrzmiewają nienaturalną czerwienią, oczy płoną jak bursztyny.

— „Mój wspaniały monarcho" — szepcze Maria. Z oczu jej nieustannie płyną łzy.

Tłum szlachty, dworzan i rycerzy odprowadza Joannę. Najznakomitsze damy otaczają ją z szumem i łopotem sukien, jak stado gruchających gołąbków. Przed nią biegną panie w szkarłatno-czerwonych i żółtych jak pigwy kaftanikach. Ze wszystkich okien wychylają się głowy. Ulice pełne są ludzi. Już wiadomo w całym Chinonie, co stało się w sali zamku królewskiego.

Tłum wznosi okrzyki radości i entuzjazmu.

Król rozporządził, aby Joannie przygotowano mieszkanie w zameczku Coudray, gdzie mają się nią opiekować kapitan Bellier i jego małżonka.

Po przybyciu na miejsce Joanna rozmawia jeszcze z damami dworu. Paziowie stoją skromnie na uboczu. Księżna Lavalle mówi:

— „Joanno, podbiłaś mnie zupełnie, bądź pewna mej pomocy, ilekroć jej zażądasz".

Przysłano do dyspozycji Joanny kilka pokojówek, młodych, w jej wieku, pań szlachetnego rodu; są one wścibskie, ciekawe, ale życzliwe i serdeczne. Joanna jest rozmowna i swobodna, jakby zawsze obracała się w tym towarzystwie.

Bez przerwy niemal wypytuje o króla, o nim chce rozmawiać.

Opowiadają jej o nim, żartują, panuje nastrój pogodny i radosny. Młode damy, wróciwszy do domu, mówią, że jeśli ta dziewczyna może czynić cuda, to największym cudem było by, gdyby pozostała taką, jaką jest, prostym młodym dziewczęciem, zupełnie ziemskim, naturalnym stworzeniem.

Tak, ale jak będzie z jej obietnicą? Ta dziewczyna chce uratować Francję?!

Nie. Temu już znowu nie daje się wiary. Po chwili pierwszego oszołomienia wraca do głosu dawny sceptycyzm. Nie można się ośmieszać i jak stare babki wierzyć w tak cudowne historie.

Młoda dziewczyna zmiecie z powierzchni ziemi kilkutysięczną armię dobrze uzbrojonych żołnierzy? Ciężkie działa, konie? Rycerzy i giermków? Tabory, prowiant?

Na miłość Boską, aby w to uweirzyć trzeba być chyba niespełna rozumu!

Tłum. Z. Lichniak

Przypisek tłumacza: Orlean wyzwolono 8.V.1429 r. W tym samym roku odbyła się uroczystość koronacyjna Karola VII w Reims.

Opisu historycznych wydarzeń Wyl nie kończy na męczeńskiej śmierci Joanny, lecz informuje czytelnika, oczywiście, w streszczeniowym skrócie — o procesie w roku 1456, uwalniającym zbawczynię Francji od wszelkich, szkalujących ją oskarżeń, wspomina o procesie beatyfikacyjnym w roku 1909, wreszcie mówi o akcie kanonizacji w roku 1920. Całość tego stanowczo niewydarzonego epilogu zamyka patetyczne epitafium wysławiające wielkość świętych.

W przedstawionym tu schemacie, wiernym zresztą poddańczo starej tradycji powieści biograficznej, zrealizował autor kilka bardzo szczęśliwych pomysłów, świadczących dodatnio o jego przygotowaniu koncepcyjnym i ambicji nowego, a w każdym bądź razie pełniejszego oświetlenia postaci tytułowej.

Rudolf Wyl zdobył się na przedstawienie głównych bohaterów swojej powieści biograficznej w kategoriach ich czasu, tzn. przedstawił ich procesy myślowe, ich reakcje, ich stosunek do zjawisk z uwzględnieniem najważniejszych uwarunkowań epoki, która ich wydała, którą te postacie reprezentowały i którą na swój sposób tworzyły. Więcej: Wyl w całej niemal książce utrzymał konsekwentnie tok — przenośnie tu rozumianej — mowy pozornie zależnej. Wyraża się ona nie w formie koniugacyjnej czasowników, ale w formie mentalności, jaka kieruje działaniem poszczególnych postaci, wyraża się w podporządkowaniu tej mentalności pojęciem ustalonym przez obowiązującą wówczas logikę skojarzeń i zależności, przez ustaloną wówczas tradycję znaczeń.

I tak np. Joanna d'Arc, niezgodnie z prawdą obiektywną, ale zgodnie z ówczesną, piętnastowieczną prawdą „filozofii władzy" uważa osobę króla za specjalnie bliską Bogu, bo sprawującą funkcję „Chorążego Pana Niebiosów", bo noszącą na sobie niewidzialny znak specjalnego powołania dziejowego. I tak np. Karol VII czuje się królem i odzyskuje poczucie swojej godności dopiero wtedy, kiedy dowiaduje się, że jest prawowitym dziedzicem tronu, a nie bękartem z nieprawego łoża, dopiero wtedy gdy ma pewność, że krew, która w nim płynie, chociaż zawiera prawdopodobnie taką samą ilość hemoglobiny, co krew jego pazia, nie jest zwykłą ludzką, ale krwią królewską. I tak np. jeden z wyższych urzędników ma wyraźnie za złe Panu Bogu, że skoro robi im tę grzeczność i zbawia Francję, chce mu się zbawiać ją przez posłannictwo zwykłej dziewczyny wiejskiej, a nie korzysta z usług jakiejś wysoko urodzonej szlachcianki.

Te wyraziście (czasami — jak w ostatnio cytowanym wypadku — niemal karykaturalnie) przedstawione związki ludzi kształtem epoki, określają pełniej jej klimat, stwarzają pełniejsze, prawdziwsze nie tylko tło, ale i podłoże dla zrozumienia formy, w jakiej dokonała się cudowna misja Joanny, dla zrozumienia zewnętrznego przebiegu jej wyzwoleńczej walki.

Dzięki temu występuje także konkretniej postać samej wyzwolicielki. Trzeba przyznać, że Wyl potrafił stworzyć sylwetkę jasną, czystą, nieprzepsychologizowaną. Taka postać byłaby równie trudna i przykra w czytaniu jak ostatnie słowo poprzedniego zdania.

Joanna pisarza szwajcarskiego jest prostą, nieskomplikowaną konstrukcją psychiczną. Kocha, wierzy, słucha Głosów. Jej reakcje to reakcje normalnego człowieka, anormalność świętości przejawia się u niej tylko monolitową niezłomnością wiary, nieznającej żadnych wahań, wątpliwości i osłabień, nawet w trudnym egzaminie cudów. Autor tę niezwykłość podkreśla szczególnie mocno. Czasami nawet popada w przesadę, ale forsuje dzięki temu koncepcję świętej z wyboru Boga, a nie z własnej wytężonej pracy, świętej bez konfliktu wewnętrznego, świętej, która radośnie oddała się ogarniającej ją łasce, stała się tylko narzędziem, ale za to aż Boga.

Ten rysunek postaci eliminuje z powieści ładunek refleksji. Powieść jest właściwie bezproblemowa, ale staje się problemem, gdy czytelnik odczyta ją jako manifest wiary, manifest ufności w moc łaski, manifest poparty mnóstwem faktów, poparty historią.

Takie odczytanie książki ułatwił autor czytelnikowi w sposób wykluczający jej dwuznaczną interpretację. Przedstawił bezwyjściowość sytuacji polityczno - wojennej Karola VII. Ukazał atmosferę plotek, insynuacji i knowań jaka go otaczała. Zademonstrował potęgę agresorów angielskich. Nagromadził dużą ilość faktów przemawiających za tragicznym dla Francji zakończeniem kampanii. I — ukazał zwycięstwo Francji. Orlean wyzwolono, wroga odparto, król wstąpił do świątyni w Reims. Dzięki Joannie. Dzięki Głosom. Dzięki Łasce.

Rozważania, jakie notuje czytelnik na marginesie książki Wyla są zasługą autora. Sprowokowanie do ankietowania dociekania tajemnicy świętości i łaski — to osiągnięcie już nie tylko literackiej natury.

Ale bez oprawy literackiej nie udałoby się chyba tego celu osiągnąć. Nie wszystkie bowiem, choćby najbardziej źródłowe rozprawy hagiograficzne, nakazują myśleć o swoich bohaterach czy bohaterkach.

A książki Wyla nie da się odłożyć na bok bez zadumy nad związkiem tego, co można powąchać, dotknąć, zważyć, opisać, skatalogować w historii, z tym, co jest ponad historią, chociaż i historią jest także.

Zygmunt Lichniak

* KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI *

P O W I E Ś C I

SYMBOLIKA I REALIZM

Wśród wielu utworów, odtwarzających dzieje wojny narodu radzieckiego przeciw najeźdźcy hitlerowskiemu, powieść M. Bubiennowa*) jest interesująca przede wszystkim z tego względu, iż dotyczy dramatycznego, pełnego napięcia okresu zbliżania się Niemców pod Moskwę. Jeśli chodzi o walory literackie, odznacza się wartką, logicznie powiązaną fabułą, szeregiem umiejętnie zróżnicowanych postaci i ciekawą, aczkolwiek nieraz już w literaturze stosowaną, próbą sprzęgnięcia przeżyć bohaterów powieści z opisami przyrody ich rodzinnego kraju.

Pierwszy nurt powieści — to smutna historia okupowanej przez Niemców wsi Olchowka.

Drugi nurt, zasadniczy, to tragiczna przeprawa oddziału piechoty, okrążonego przez wroga — przeprawa zakończona radosnym połączeniem się z resztą wojsk, broniących stolicy i bohaterskim odparciem Niemców daleko od Moskwy.

Tak jak każda wojna i każda okupacja jest ogniową próbą charakterów ludzkich napadniętego, czy też pozostającego pod okupacją narodu — tak i w tej inwazji przetapiały się serca ludu rosyjskiego — jedne w stal, inne — w popiół.

I dlatego — wśród mieszkańców Olchowki jest nieugięty Osip Michajłowicz, który za sprawę wyznawanej przez siebie idei, dla dobra swych współziomków ginie powieszony przez wroga, ale jest także zdrajca Czerniawkin, który skwapliwie ofiarowuje okupantowi swoje usługi; ale jest i Jerofiej Kuźmicz, którego brak zdecydowania i pionu moralnego skłaniają również do wysługiwania się hitlerowcom.

I dlatego — wśród oddziału bohaterskiego kapitana Ozjerowa byli zwykli prości żołnierze, jak Andrej, Diektiarew, czy Jurgin, których odwaga i zdyscyplinowanie tworzyły siłę Armi' Radzieckiej — ale byli i tacy, jak Łozniewoj, czy Jarcew, tkórych tchórzostwo i dezercja opóźniały chwilę ostatecznego zwycięstwa.

Niezbyt przekonująco wypadły natomiast autorowi sylwetki Niemców. Ich szablonowość i stereotypowość można by tłumaczyć małą znajomością psychiki poszczególnych przedstawicieli obozu wroga — rekompensuje to jednak barwna mozaika psychologiczna, jaką prezentuje nam autor w odniesieniu do swych współrodaków.

Realizm scen batalistycznych łączy się w tej powieści w sposób przedziwny, niemal że poetycki z opisami przyrody, składając się na zupełnie swoistą, świadomie przez autora wprowadzoną symbolikę — biologiczny proces istnienia.

Jak to zazwyczaj jest w książce o problematyce wojennej — wiele tu scen śmierci. Od męczeńskiej — z rąk oprawców hitlerowskich, poprzez bohaterską — na polu chwały, aż do haniebnej śmierci dezertera.

Jest też opis śmierci — jedyny w swoim rodzaju — jakże znamienny dla hyclowskiej mentalności poszczególnych reprezentantów „herrenvolku". Oto na rozkaz komendanta Queissa ludność Olchowki wiesza swoje psy...

Mimo tego wszystkiego książka Bubiennowa nie jest ponura — jest tragiczna, jak tragiczną jest zawsze epopea walczącego o swą wolność narodu. Ponure jest natomiast oblicze hitleryzmu, ukazane w tej powieści, ponure i odrażające.

Książka Bubiennowa kończy się akordem optymizmu w scenie, gdy bohater powieści, Andrej, na miejscu stoczonej przed chwilą walki, dostrzega nienaruszoną białą brzozę, która przetrwała huragan ataków wroga. „I Andrejowi wydało się niezwykle znaczące, pełne głębokiego sensu to, że właśnie tutaj, w szczerym polu, wśród takiej okrutnej bitwy, cudownie przetrwała ta brzoza — piękne drzewo, o którym układa się pieśni". *G. K*

---

*) Michaił Bubiennow. „Biała Brzoza" — powieść. Tłum. J. Jędrzejewicz. „Czytelnik". Warszawa, 1949, stron 459.

LITERATURA DZIECIĘCA

DWIE „CHINSKIE TAJEMNICE"

Obserwując polski ruch wydawniczy paru lat ostatnich, bardzo ożywiony, jeśli chodzi o beletrystykę, poezję, dzieła polityczno-społeczne i naukowe, czy też literaturę dziecięcą — można z łatwością skonstatować martwotę na odcinku książek młodzieżowych. Zaznaczam od razu, że chodzi mi o powieści dla młodzieży współczesnych polskich pisarzy, a nie np. tłumaczenia z rosyjskiego, których mamy dużo, niekiedy w najlepszym gatunku, o czym zresztą pomówimy za chwilę. Zaznaczam też, że nie chodzi mi o wznowienia wydawnictw przedwojennych, których jest również dużo i one właściwie — wraz ze wspomnianymi tłumaczeniami — stanowią podwaliny dzisiejszej literatury młodzieżowej.

Że tak jest istotnie, wystarczy zajrzeć do kilku kolejnych numerów „Nowych książek" — przeglądu nowości wydawniczych. Dział „Literatura dla dzieci i młodzieży" prezentuje nam w 3/4 książki dla dzieci najmłodszych — a reszta — to znowu tłumaczenia. I jakby dla podkreślenia jaskrawej dysproporcji ilościowej między literaturą młodzieżową, a dziecięcą, ta ostatnia reprezentowana jest przez wielu pisarzy maiorum et minorum gentium, poczynając od Tuwima, Brzechwy, Szelburg-Zarembiny, którzy mocą swego talentu i z poczucia odpowiedzialności wobec najmłodszego czytelnika dają dzieciom rzeczy piękne, choć pełne prostoty — a kończąc na długim szeregu miernych, a nieraz i bardzo miernych wierszopisów.

Tymczasem młodzież częściowo zachęcana przez szkołę, częściowo z własnej inicjatywy czyta Kraszewskiego, Prusa, Orzeszkową, Sienkiewicza i Żeromskiego. I to jest w porządku. Czyta również Przyborowskiego, Umińskiego, Makuszyńskiego i Morcinka (są to przeważnie wznowienia przedwojenne). Zgoda i na to. Cieszę się, widząc w rękach chłopców książki Fiedlera czy Meissnera. Mają tam przynajmniej niekłamaną egzotykę i opisy prawdziwego bohaterstwa. Kiedy jednak przekonałem się ze zgrozą, że pewien znajomy mi chłopak lat 14 zabiera się do lektury sensacyjnej książki Nasielskiego (kryminalnej pod każdym względem!), wyrwałem mu ją z rąk i kupiłem mu „Niczyjaka" Kurczaba. I tu się okazało, że właśnie Kurczab ze swoją opowieścią o losach podrzutka — wyrostka wiejskiego jest sui generis — pionierem na polu powojennej powieści młodzieżowej. Czy Kurczabowi jego próba się udała, czy też nie, o tym należałoby pomówić osobno.

Poza Kurczabem, Broniewską, Neverly, Kann i może jeszcze paru innymi pisarzami nikt u nas jakoś nie kwapi się do pisania powieści dla młodzieży. Dlaczego tak jest? Nie wiadomo. Ot, taka „chińska tajemnica" polskiego ruchu wydawniczego...

×

Tymczasem w oczekiwaniu na dalsze powieści dla młodzieży pióra polskich pisarzy przyjrzyjmy się tłumaczeniom z rosyjskiego. Tu asortyment jest bogaty i różnorodny. Młodzieżowi pisarze radzieccy podchodzą do swego rzemiosła poważnie, traktując każdy utwór jako zamówienie społeczne. W powieściach ich wątek fabularny oparty jest mocno na ściśle sprecyzowanych podstawach ideologicznych. Od talentu pisarza zależy harmonijne i efektowne połączenie tych dwóch czynników. Do najbardziej znanych u nas autorów piszących o młodzieży i dla młodzieży należą: Fadiejew („Młoda Gwardia"), Ostrowski („Jak hartowała się stal"), Katajew („Samotny żagiel" i „Syn pułku"), dalej Paustowski i Szwarc.

Dziś chciałbym poświęcić kilka słów polskiemu tłumaczeniu książki E. Dańko „Chińska tajemnica"*). Jest to utwór mniej znany, ale bardzo interesujący ze względu na trafne połączenie elementów dydaktyczno - naukowych z beletrystycznymi. Z pożytecznej tej książki i młodsi i starsi dowiedzą się z wielką dla siebie korzyścią o dziejach porcelany, której wyrób stanowił ongiś wyłącznie „Chińską tajemnicę". Dowiedzą się dalej, jak to uczony jezuita Ojciec Antrecolle zawędrował w głąb Chin, aby tajemnicę wyrobu porcelany zawieźć do Europy. Przeczytają również o smutnych losach saskiego alchemika Böttgera, który chciał robić złoto, a spreparował porcelanę. Wreszcie — o uczonym rosyjskim, Winogradowie, który niemal, że samodzielnie i na nowo odkrył sekret produkcji porcelany z surowców, znajdujących się w jego rodzinnym kraju.

Porcelana, niegdyś przedmiot zbytku i dowód bogactwa posiadacza, staje się stopniowo przedmiotem powszechnego użycia, znajdując zastosowanie nie tylko w gospodarstwie domowym, ale w poszczególnych gałęziach przemysłu i nauki.

O tym wszystkim opowiada czytelnikowi autorka „Chińskiej tajemnicy", czyniąc to umiejętnie i interesująco. Doskonale opanowany materiał rzeczowy i frapująca narracja — to czynniki, decydujące o dużej wartości omawianej książki.

Z zakończenia dowiadujemy się, że opowieść swą pisała autorka przede wszystkim z myślą o młodzieży, a o tym, jak poważnie traktuje E. Dańko swych młodocianych czytelników, świadczą jej własne słowa: „Aby napisać tę książkę, musiałam przeczytać masę książek w czterech językach o mnichach, rycerzach, Chińczykach, rosyjskich cesarzowych — wypytywać wielu ludzi. Musiałam sama wiele zwiedzić, popracować w fabryce porcelany..."

×

Omówiona przeze mnie pokrótce książka radzieckiej pisarki, ciesząca się w bibliotekach młodzieżowych dość dużą popularnością, stanowi jeszcze jeden dowód, że dla młodzieży pisać trzeba i warto, mimo iż to zadanie trudne i odpowiedzialne.

Ten trud opłaci się wam na pewno, drodzy autorzy wszystkich... jeszcze nienapisanych książek dla młodzieży.

G. K.

---

*) E. Dańko — „Chińska tajemnica" — „Czytelnik" W-wa, przekład J. Tołwińskiej i H. Rogalowej. 1949, stron 208.

*

„PRZYGODY GUCIA PINGWINA"

W zeszłym tygodniu pojawiła się na półkach księgarskich książka dla dzieci Aleksandra Rymkiewicza p. t. „Przygody Gucia Pingwina".1) Książkę tę należy powitać ze szczerym uznaniem, gdyż spełnia ona wszystkie prawie warunki, stawiane dobrej litearturze dziecięcej.

Ładnym, nowoczesnym wierszem autor opowiada o chłodnych morzach, górach lodowych i wiecznych śniegach Antarktydy. Na tym mroźnym tle, prócz głównych bohaterów pingwinów, spotykamy i innych mieszkańców okolic podbiegunowych: foki, wieloryby, mewy... Dziecko czytając uczy się jednocześnie geografii i przyrody.

To nic, że książka powstała pod nieświadomym może zresztą wpływem Kiplinga (pokrewieństwo np. z Białą Foką z Księgi Dżungli wydaje się bezsporne). Można się wobec tego spodziewać, że Gucio Pingwin stanie się tak popularny w pokojach dziecinnych, jak Balu, Baghera czy Rikitikitavi.

Jeśli chodzi o stronę dydaktyczną, to prócz wiadomości z wyżej wymienionych nauk, książka ta ma również duże znaczenie wychowawcze. Gucio jest dzielny, energiczny, przedsiębiorczy, posiada silnie rozwinięte instynkty społeczne — jego wyprawa ma przecież na celu dobro ogółu. A wszystkie te słuszne założenia wypowiedziane są w barwny, plastyczny, nie pozbawiony zmysłu humoru sposób, dzięki czemu tym silniej przemawiają do młodziutkich czytelników.

Końcowe zdanie: „Pamiętaj zawsze, że pingwiny cenią nie fraki, ale czyny" napewno jest bardziej przekonujące od rozwlekłych, nudnych morałów na ten temat.

Wartość książki podnoszą jeszcze śliczne zarówno rysunkowo, jak i w kolorycie ilustracje. Jedno małe zastrzeżenie: nie należało chyba zamieszczać nieortograficznego napisu Gucia, gdyż wiele dzieci ma pamięć wzrokową i może go sobie przyswoić. Ale to jedno „ale" jest bez znaczenia wobec tylu innych zalet książki, którą z całym przekonaniem można polecać jako doskonałą dziecinną lekturę.

So.

---

1) Aleksander Rymkiewicz: „Przygody Gucia Pingwina". Ilustrował W. Bucza. Nakład Sp. Wyd. „Pax". Warszawa 1950 str. 24.

N A U K A

CHERRY KEARTON: WYSPA PIĘCIU MILIONÓW PINGWINÓW

Przekład Aleksandra Dobrota. Państw. Instytut Wydawniczy.

Miłośnicy książek Grey'a Owla — Szarej Sowy i Fiedlera znajdują tę samą przyjemność w lekturze „Wyspy pięciu milionów pingwinów".

Autor, wielki przyjaciel zwierząt i badacz przyrody, stwierdza na podstawie swojej obserwacji podczas dłuższego pobytu na Wyspie Pingwinów, (jedna z małych wysepek w okolicy Afryki płd.) że życie i obyczaje tych niezwykle inteligentnych, o groteskowym wyglądzie ptaków bardzo przypominają życie zbiorowe i pewne typy ludzi. Pisząc więc o nich stale porównuje je z gromadą ludzką i jej obyczajami. Obserwujemy więc razem z autorem zaloty i grę miłosną młodych pingwinów, okres „zakładania ogniska domowego", „sprawy rodzinne" państwa Pingwinów, podziwiamy ich wierność małżeńską i sprawiedliwy podział pracy przy wyżywieniu i wychowaniu dzieci. Śmieszą nas zdarzające się czasem w mniej dobranym stadle sceny małżeńskie, gdy pani Pingwinowa jest czymś zdenerwowana, lub co gorsza — mąż zastanie ją na czułym flircie. Autor umie rozśmieszyć, ale i wzruszyć czytelnika niedolą osieroconych pingwiniątek lub tragedią „wyrzutka społeczeństwa" pingwina albinosa. Rozdział „Złota młodzież" przedstawia satyrycznie podpatrzone typy ptasich flirciarzy, polujących na łatwe sukcesy wśród znudzonych, zmęczonych macierzyńskiemi obowiązkami lub osamotnionych chwilowo „młodych dam".

Postawa autora w stosunku do obserwowanych zwierząt pełna jest subtelnej wrażliwości i zrozumienia. Autor wypowiada o swoim stosunku do zwierząt zdanie, że „nie wyrządził im krzywdy, choć się z nich w książce często śmieje... Lubi je jednak bardzo i nieraz zastanawiał się — badając je — czy on jest przyrodnikiem badającym dziwny okaz przyrody — pingwina, czy też oni są przyrodnikami badającymi najdziwniejszy twór przyrody — człowieka."

Pingwin zdaniem autora więcej zasługuje na przyjaźń, niż na bezmyślny śmiech. Dlatego celem autora jest wzbudzić zrozumienie i uznanie dla rzeczywistych zalet tego wyjątkowo miłego stworzenia. Udało mu się to w zupełności.

Dobre swobodne tłumaczenie i udatne, zręcznie do treści dostosowane fotografie podnoszą wartość książki.

A. R.

***

Z dziejów kapitalizmu w Polsce

W bardzo popularnym zarysie kreśli autor dzieje kapitalizmu w Polsce, dając obfity materiał cyfrowy, chronologizując fakty ekonomiczne i próbując zarazem w oparciu o materializm historyczny wyjaśnić przyczyny, które kierowały danym zjawiskiem historycznym.

Szukając genezy kapitalizmu w Polsce, sięga Grossfeld do wieku XVIII, w którym istniały próby zorganizowania przemysłu na większą skalę (Tyzenhaus, Stanisław August), choć w rezultacie bezowocne. Upośledzenie miast, brak silnego mieszczaństwa i zacofanie społeczne, były zdaniem Grossfelda — zasadniczymi przyczynami słabości rozwoju przemysłu epoki stanisławowskiej. Zmiany przyniósł dopiero początek w. XIX, stwarzający warunki do rozwoju kapitalizmu — dzięki dwom doniosłym reformom. Reformy te — to zniesienie poddaństwa i wprowadzenie francuskiego kodeksu cywilnego.

W rozwoju przemysłu w Królestwie Polskim wyodrębnić można (podział dokonany przez Różę Luksemburg) trzy zasadnicze etapy: 1) 1820 — 1850 — okres manufaktury, to jest przemysłu opartego na pracy ręcznej, przeważnie skupionych już jednak w jednym warsztacie robotników. 2) 1850 — 1870 — okres przejścia od manufaktury do wielkiego przemysłu maszynowego i 3) od r. 1870 — okres rozkwitu wielkiego przemysłu.

Proces koncentracji produkcji i kapitału jest przedmiotem dalszej analizy autora, który dochodzi do wniosku, że „pomimo znacznego opóźnienia w czasie i ogólnego niedorozwoju gospodarczego kraju, przemysł w Polsce był pod względem swej struktury, charakteru i form organizacyjnych — przemysłem wielkokapitalistycznym".

W części poświęconej omówieniu kapitału finansowego, autor twierdzi, że „dalszy rozwój kapitalizmu w Polsce odbywał się również po linii ogólnego rozwoju kapitalizmu, to jest w kierunku imperializmu". Następnie zajmuje się zagadnieniem ekspansji kapitału polskiego przed rokiem 1914, twierdząc przy tym, że powstanie polskich orientacji politycznych (endecja, piłsudczyzna) ma swe źródła w układzie stosunków gospodarczych.

Niewielką tę książeczkę kończy rozdział, dotyczący zagadnień gospodarczych Górnego Śląska, Galicji, i Poznańskiego w okresie przed I Wojną Światową.

J. D.

TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

Teatr

TRZY PREMIERY W TEATRACH WYBRZEŻA

Pełny już rok gospodarzy Stanisław Kwaskowski na trzech scenach Państw. Teatru „Wybrzeże".

Po poetyckim w znacznym stopniu repertuarze Galla oglądaliśmy w ubiegłym sezonie sztuki z problematyką społeczną, satyrą obyczajową, wyjątkowo „neutralne" komedie w rodzaju „Poskromienia złośnicy" Szekspira, „Zemsty" Fredry czy... „Królowej Przedmieścia" Krumłowskiego. Ze starych autorów grano ponadto w Gdańsku, Sopocie i Gdyni — Gogola, Blizińskiego, Zapolską, Galsworthy'ego, Shaw'a. Poważnie wzrosła ilość premier sztuk współczesnych. Pokazano nam Kruczkowskiego, Fadiejewa, Rachmanowa-Ryssa, Uspienskiego, Vaha.

W przeciwieństwie do młodego zespołu artystycznego gdyńskiego z ubiegłych lat, zespół Kwaskowskiego posiadał sporo aktorów rutynowanych, często niepozbawionych talentu, choć nie otoczonych może tak troskliwą opieką, jak za Galla. Reżyserami byli St. Kwaskowski, J. Walden, Cz. Strzelecki, Br. Kassowski, J. Śliwa. Plastyczna oprawa stała przeważnie, dzięki dekoratorom F. Krassowskiemu i R. Bubiecowi, na dobrym poziomie.

Najwięcej dokonano w dziedzinie zdobywania nowego widza. Dzięki częstości premier (od września do maja — 14!), repertuarowi przystępnemu i pożytecznemu, popularności ujęcia — pozyskano dla teatru szersze masy pracownicze, masy, które stroniły dotąd od sal teatralnych.

Bilans ogólny sezonu wypada więc niewątpliwie dodatnio. Teatr Wybrzeża nie odpowiada zapewne jeszcze swym poziomem ważności terenu, który obsługuje, jest raczej dobrym teatrem prowincjonalnym. Przypuszczać jednak można, że rozmach budownictwa socjalistycznego na Wybrzeżu, odbywająca się w pełnym tempie odbudowa Gdańska, organizowanie opery — wkrótce pociągną za sobą wzmocnienie obsady reżyserskiej i aktorskiej, tym bardziej, że administracyjnie teatr okrzepł i zdaje się stać na mocnych nogach.

×

Po przerwie czerwcowej Teatr „Wybrzeże" dał w lipcu trzy nowe premiery, które potwierdzają na ogół dotychczasową ocenę.

Repertuar dotyczy problematyki społecznej: „Wesele Figara" Beaumarchais, „Faryzeusze i Grzesznik" M. Wollin i J. Pomianowskiego, „W pewnym mieście" A. Sofronowa.

Mimo ogromnej różnicy ważkości artystycznej — zarówno „Wesele Figara" jak i „Faryzeusze" osądzają klasy zstępujące z widowni dziejów. Zasadniczy pomysł „Faryzeuszy" jest przy tym niezwykle typowy i pociągający. Sprawa obrazu Starego Mistrza pozwoliła odsłonić sedno upadającego świata, przeżartego potęgą pieniądza. Kiedy jednak dziwak-malarz, nawrócony katastrofista, oświadcza pod koniec sztuki, że wypuszczał na rynek falsyfikaty słynnych obrazów, lecz posiada oryginały i przechowuje je do lepszych czasów, rzecz nabiera wyraźnie alegorycznego, ale konstruktywnego sensu. Malarz po prostu nie uznaje świata, w którym żyje, zdeprawowanego społeczeństwa kapitalistycznego, nie uznaje go za godne prawdziwej sztuki. Przez pozytywnego bohatera sztuki, zecera Marka, odzyskany dla wiary w przyszłość. Malarz oczekiwać będzie i pomagać w tworzeniu nowego, lepszego społeczeństwa.

Gdyby „Faryzeuszy" napisano dobrze, komedia ta mogłaby stanowić po latach dokument epoki przełomu, dokument tego samego rzędu co „Wesele Figara". Niestety „Faryzeuszom" brak zarówno przejrzystości konstrukcji jak niezbędnego umiaru artystycznego. Aby ukazać potworność świata kapitalistycznego, wcale nie trzeba przydawać jego przedstawicielom rysów zewnętrznej ordynarności. Beaumarchais nie postępował tak ze swoimi schyłkowcami, feudałami. Przedstawiał ich wśród finezyjnego ciętego dialogu, sytuacji arcykomicznych, posługując się dowcipem wcale cienkim. Pogromca jaśnie państwa, Figaro, nie będący zresztą sam aniołem, bije hr. Almaviva swoją zwycięską inteligencją.

Polska spółka autorska poszła jednak drogą z gruba ciosanej farsowości. Powołała do życia komplet czarnych charakterów, wyposażając je w odruchy psychiczne i słownictwo z nieprawdziwego zdarzenia. Odwrotnie też, biel białych charakterów jest w sztuce prawdziwie papierowa, jedynie stary dziwak-malarz tętni odrobiną życia i prawdy. Przez prymitywizm (i chyba pośpiech) opracowania — zepsuto komedię, ciekawą w ogólnym pomyśle i nie pozbawioną zresztą ani komicznych sytuacji i dowcipu, ani szerszych perspektyw ideowych.

Niemal stały zarzut, jaki stawiać trzeba premierom Teatru „Wybrzeże", to zarzut niezbyt subtelnej interpretacji wystawianych sztuk. Odnosi się to również do omawianych tu utworów. Do tego zaś trzeba jeszcze dodać (w Gdyni i Sopocie) nieopanowanie tekstu przez aktorów.

„Wesele Figara" w Gdyni w reżyserii i z hr. Almaviva *Czesława Strzeleckiego* zdawało się przewyższać możliwości zespołu. Koncepcja przedstawienia zmierzała ku połączeniu satyry społecznej, ukrytej poza komizmem sytuacyjnym, z elementami śpiewno-muzycznymi oraz stylowością oprawy dekoracyjnej i kostiumów. Stylowość winna była jednak rozciągać się na całość widowiska, tu zaś ograniczała się jedynie do pięknych rzeczywiście i pomysłowych dekoracji Feliksa Krassowskiego, wiernie utrzymanych w stylu rokoka. Już muzyka K. Serockiego, zwłaszcza w swego rodzaju uwerturach na 2 fortepiany, poprzedzających poszczególne części przedstawienia, nie przekonywała swym charakterem stylistycznym, a wykonanie piosenek było bardzo nierówne, od subtelnego ujęcia Jęsiakówny (Franusia) i Zakrzewskiej (Zuzanna), czy Rummlowej (Cherubin) do niemal rewiowego — u postaci komicznych, a nawet u samego Figara. Poziom wokalny dyskretnie przemilczam.

Z obsady aktorskiej jedynie Sylwia Zakrzewska (Zuzanna) wykazała potrzebną lekkość i błyskotliwość w słowie, mimice (gra oczu!), ruchu, geście. Rola Almavivy również nieźle leżała na Strzeleckim, choć w podstarzałym lowelasie dość trudno było doszukać się władczego latyfundysty. Kassowskiemu jako Figaro brakowało za wyjątkiem temperamentu niemal wszystkiego tego, co posiadała jego partnerka, przede wszystkim zaś niezastąpionej w tej komedii umiejętności szybkiego wygłaszania tekstu. Role komiczne potraktowano dość farsowo i cofnięto w stylu wstecz prawie o dwa wieki; wydawało się niekiedy, że znajdujemy się na przedstawieniu szekspirowskim, a nie w epoce rokoka.

5 aktów „Figara" zainscenizował Cz. Strzelecki w trzech częściach, z prologiem i intermediami na proscenium, coś jak niedawno w „Kumoszkach z Windsoru" w warszawskim Teatrze Polskim. Pomysł w zasadzie szczęśliwy wobec 5 zmian dekoracji. Niestety, nie były równie szczęśliwe teksty wstawek. Dziwna rzecz, pracownicy sztuki i kultury w Gdańsku i Gdyni nie chcą ani rusz dostrzec, że pod ręką, na Wybrzeżu żyje i tworzy cały szereg poetów dobrych, conajmniej zaś zręcznych. Tymczasem: tłumaczenie „Eugeniusza Oniegina" przerabia — śpiewak, słowa do kantaty bachowskiej pisze — muzyk, intermedia zaś do „Wesela Figara" — aktor, wstydliwie ukryty za literkami C. S. Najwyższy czas przerwać tę zabawę w literaturę.

„Faryzeusze i Grzesznik" w Sopocie, w reżyserii *Stanisława Kwaskowskiego*, cieszą się również dużym, choć niezupełnie zasłużonym powodzeniem. Komedii nadano słusznie żywe tempo, ale nie dość starannie wypunktowano zwrotne momenty akcji, dzięki czemu wejścia i wyjścia postaci, w ogóle słabo w sztuce uzasadnione, następowały w trybie marionetkowym. O dobrą obsadę ról było w tej komedii wyjątkowo trudno, nic dziwnego, że — pozytywne zwłaszcza role wypadły blado, a gangster Donald, mimo najlepszych starań, wypadł niegroźnie, ale i niepoważnie. Świetny, niezwykle naturalny, może nieco zbyt „łopatologiczny", był sam Kwaskowski jako Malarz, z interesująco oddanym rysem maniactwa. K. Pepłowska (Diana) zaczyna wydobywać się z dość długotrwałego kryzysu swej formy. Dobra była w scenie przy telefonie, już spokojna, triumfująca po zażegnaniu skandalu.

Najbardziej wyrównaną z ostatnich premier było *„W pewnym mieście" na scenie gdańskiej*, w reżyserii *Jerzego Waldena*. Sztuka reprezentuje typ udramatyzowanej moralistyki społecznej. Efektownego doktrynerowi, pracującemu z rozmachem na pokaz dla cudzoziemców i... potomności, przeciwstawia Sofronow w swej sztuce działaczy ściśle związanych z masami społecznymi. Walka o styl pracy publicznej wiąże się z najosobistszą sferą życia tych ludzi. „Bliżej do człowieka" — taki jest konkretnie humanistyczny sens tej sztuki, ukazującej w dramatycznej postaci socjalistyczne „prace i dnie".

J. Walden opracował sztukę reżysersko tak jak została napisana — czysto i przejrzyście. Na tle przyjemnych dekoracji R. Bubieca mógł widz wyraźnie śledzić narastanie wypadków „w pewnym mieście". Nie zgodziłbym się tylko z ujęciem roli Sorokina. Reżyser zamierzał zapewne ożywić poważną sztukę Sofronowa. T. Nowak przerysował jednak postać Sorokina. Powinien to być efekciarz, blagier, ukryty buffon— zgoda. Ale nie może być groteskowym błaznem. Trudno sobie wyobrazić takiego urzędnika socjalistycznego.

Wśród wyrównanego na ogół zespołu J. Walden jako sekretarz partii wydawał się bardzo autentyczny, Śliwa z powodzeniem wczuł się w trudną rolę szkodliwego dygnitarza Ratnikowa, Hermanowicz dał wzruszającą sylwetkę urzędnika-antybiurokraty, E. Drozdowska wreszcie umiała obok kobiecej miękkości — nadać również rys siły zakochanej w synu Ratnikowa dziennikarce. Natomiast Marzecki, grający młodego Ratnikowa, nie panował nad mimiką, w ogóle młody i zdolny ten aktor ma ostatnio coś manierycznego w swej grze.

Teatr Wybrzeża pora się — jak widać z tego krótkiego przeglądu — z zagadnieniami wspólnymi dla całego polskiego teatru, przede wszystkim z trudnościami w zakresie reżyserii. Teatr ten ma jednak ambicje repertuarowe. Nie waha się sięgać zarówno po stylowe sztuki historyczne, jak i po sztuki nowe, nawet mało jeszcze wypróbowane. Nie brak też zespołowi obiecujących aktorów. Przede wszystkim zaś Teatr „Wybrzeże" pracuje na terenie ważnym, pionierskim. Teatrem „Wybrzeże" warto by zainteresować najlepszych polskich reżyserów.

Andrzej Odnowa

Film

„DZIEWCZYNA ZE SŁOWACJI" (produkcja Czechosłowacka).

Film o problematyce współczesnej, aktualnej, dotyczącej bowiem współzawodnictwa pracy, racjonalizatorstwa, jest ujęty w formie rozrywkowo-komediowej.

Jest słuszne że ambicją realizatorów było poruszyć tę problematykę, że chcieli ją ująć lekko i pogodnie, jest natomiast nieporozumieniem, że scenarzysta tak bardzo sobie uprościł zagadnienie, ograniczając współczesność w tym filmie jedynie do zewnętrznych chwytów fabularnych i realiów fabrycznych.

Jeśliby szukać analogii powieściowych, wypadało by wymienić tutaj przedwojenne powieści dla „pensjonarek". Ta sama koncepcja fabuły, dawkowany sentymentalizm, powierzchowność, szczypta humoru, pozorne konflikty i papierowa szlachetność.

Fabuła tego filmu jedynie terminologią określa czas i miejsce; można by akcję umieścić poza fabryką i w innym okresie, dokonać przeniesienia, zmieniając jedynie realia.

Fabryka jest pretekstem do pokazania szablonowej fabuły i wielokrotnie już wyzyskiwanych szablonów sytuacyjnych. Bohaterka filmu, młoda dziewczynka wiejska, widziana oczami „miłującego lud estety" ze wsi, którą oglądamy z bardzo mieszczańsko letniskowego punktu widzenia przyjeżdża do miasta, by zacząć pracować w fabryce. Tam razem ze swymi koleżankami angażuje się we współzawodnictwo pracy i dokonywa odkrycia racjonalizatorskiego. Praca od strony operatorskiej jest pokazana bardzo ładnie, natomiast scenariusz traktuje ją jakoś bardzo operetkowo jako motyw dekoracyjny, zabawę w pracę. Nie zrobiono żadnej najmniejszej aluzji do tego, że dziewczęta żyjące w fabrycznej gromadzie, jakoś są przez fabrykę wychowywane, że uczą się nie tylko wkładania pończoch na formy, ale i rozumienia otaczającego je świata, że wreszcie myślą i uczą się myśleć.

Ludzie w tym filmie są (poza bohaterką, która ma reprezentować pozytywną siłę: ładna, idealnie naiwna i idealnie niemądra) statystami, nieokreślonymi środowiskowo. Nie mają żadnych powiązań z otaczającym je światem, żadnych kłopotów materialnych, żadnego „poza - fabrycznego" życia.

Film jest potwierdzeniem zasady, że żeby napisać scenariusz nawet pojęty jako komedię rozrywkową o problematyce robotniczej, trzeba tę problematykę znać, że aby tworzyć fikcję trzeba jednak znać rzeczywistość, którą się przekształca.

Temat współzawodnictwa pracy i racjonalizatorstwa wówczas można filmiwo pokazać, jeśli nie zapomni się o człowieku w nim zaangażowanym, jeśli się go wyraźnie określi i ustawi, ponieważ fikcyjne obrazy i fikcyjni ludzie nie interpretują niczego.

Miłą dla recenzenta niespodzianką jest wymienione w programie nazwisko autora programu, co jest pierwszym krokiem w realizacji postulatów recenzentów w stosunku do Filmu Polskiego w tej sprawie. Pozwala to wierzyć, że i inne niejednokrotnie wyrażane postulaty w stosunku do programów zostaną kiedyś także wzięte pod uwagę.

Leszcz

W Warszawie

W całej prasie polskiej ukazały się trzy dalsze listy Józefa Stalina w sprawie językoznawstwa. Są to odpowiedzi na pytania skierowane do Stalina przez poszczególnych obywateli radzieckich. Zawierają one rozwinięcie i pogłębienie tez wyłożonych w artykule „O marksizmie w językoznawstwie", wydanym obecnie po polsku w oddzielnej broszurze.

***

Władysław Broniewski obchodził w lipcu roku bieżącego dwudziestopięciolecie swej pracy poetyckiej.

Również w lipcu br. 30-lecie pracy literackiej obchodził Artur Maria Swinarski, poeta, satyryk i dramaturg.

***

Na ostatnim plenarnym posiedzeniu odbytym w Warszawie Rada Turystyczna postanowiła, iż począwszy od dnia 31 sierpnia do końca roku bieżącego — zostanie przeprowadzone połączenie stowarzyszeń turystycznych takich jak PTT, PTK, Liga Ochrony Przyrody, regionalne i lokalne związki krajoznawcze, turystyczne, miłośników ziemi itp. w jedną ogólnopolską organizację masową pod nazwą *„Polskie Towarzystwo Turystyczno - Krajoznawcze"*. Ujednolicając ośrodek dyspozycyjny osiągnie się lepszą możliwość kierowania wzrastającym ruchem wycieczkowym i turystycznym oraz bardziej planowe wykorzystanie urządzeń turystycznych, zwłaszcza miejsc noclegowych i transportu. PTTK przejmie wszystkie zadania łączących się organizacji, wraz z objęciem kierownictwa gospodarczego nad przemysłem mającym związek z turystyką i taternictwem.

***

Na ekrany wszedł nowy polski film średniometrażowy, dokumentarny pt.: „Julian Marchlewski".

***

Wg danych urzędowego wykazu druków II kwartał bieżącego roku przyniósł wysoką produkcję wydawniczą. Wydano 1.310 tytułów o łącznej objętości ponad 8.000 arkuszy wydawniczych. Nakład wszystkich tych książek i broszur wyniósł 28.913.900 egz. Łącznie w I półroczu br. wydano 2.542 tytuły w nakładzie 59 milionów egzemplarzy. W całym roku ubiegłym wydano 73.000.000 egz. podczas gdy tylko w połowie roku bieżącego ukazało się już 60 milionów; jest to poważny wzrost. Głównie wzrost ten daje odczuwać się w dziale literatury społeczno-politycznej, literatury pięknej, oraz książek dla dzieci. Prace tłumaczone wyniosły w ubiegłym kwartale 31,6% arkuszy drukarskich, z czego 70% z literatury radzieckiej.

***

W roku przyszłym rozpocznie się stawianie murów nowego Zamku Królewskiego. W tym celu powołane zostało specjalne Przedsiębiorstwo Państwowe do Odbudowy Zamku, które przejmie roboty zapoczątkowane przez przedsiębiorstwo Konserwacji Aarchitektury Monumentalnej.

***

W instytucie Fryderyka Chopina otwarty został pokaz dokumentacji i materiałów dotyczących Roku Chopinowskiego 1949. Wystawa prezentuje się bogato i wyraźnie uwidacznia rozmach i organizacyjną sprawność tej imprezy muzycznej, jaką był Rok Chopinowski.

***

W Muzeum Narodowym, w związku ze zbliżającym się Kongresem Pokoju, projektuje się urządzenie trzech nowych wystaw: wystawy radzieckiej, wystawy ilustrującej przebieg badań nad początkami państwa polskiego oraz wystawy konserwatorskiej.

***

W Muzeum Narodowym ostatnio otwarto dwie nowe galerie: malarstwa polskiego od 16 do 20 wieku, gdzie znajduje się m in. „Bitwa pod Grunwaldem" oraz galerię malarstwa rosyjskiego 17. i 19 r.

×

Państwowy Instytut Sztuki w Warszawie przystąpił do inwentaryzacji zabytków polskiej pieśni i muzyki ludowej. Zorganizowano zespoły mające pracować w poszczególnych terenach.

***

Rozpoczęto ostatnie prace przy odgruzowaniu Teatru Wielkiego. Jeszcze w roku bieżącym w skrzydle Teatru położone zostaną stropy. Całkowita odbudowa i rozbudowa Teatru Wielkiego przeprowadzona będzie w ciągu najbliższych lat.

W Kraju

Jury Międzynarodowego Festiwalu w Karlovych Varach uznała za najlepszy film eksperymentalny — polski pełnometrażowy film pt. „Dwie Brygady". Honorowe wyróżnienie przyznano polskiemu filmowi średniometrażowemu pt. „Szeroka Droga".

***

W wyniku rozgrywek finałowych Międzynarodowego Konkursu im. Bacha w Lipsku polski muzyk Waldemar Maciszewski (fortepian) zajął trzecie miejsce. Trzecie miejsce zajęła również śpiewaczka Alina Bolechowska. Skrzypaczka Wanda Wiłkomirska odznaczona została dyplomem honorowym.

***

W całym kraju trwają przygotowania do Krajowego Kongresu Obrońców Pokoju, który odbędzie się w Warszawie w dniach 1 — 2 września br.

***

We Wrocławiu otwarto specjalną placówkę wiedzy o ZSRR urządzoną przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko - Radzieckiej Biblioteka instytutu zawiera 4.000 tomów.

JESZCZE O GRACJANIE

Artykuł „O Gracjanie słów parę czyli o mądrości politycznej" zamieszczony w Nr 28(242) z 16.VII. 1950 r. naszego pisma wywołał duże zainteresowanie, czego wyrazem są liczne listy napływające do Redakcji. Jest to niewątpliwie najlepszy dowód, jak literatura tego typu odpowiada potrzebom duchowym szerokich kół czytelników, myślących rozumowymi kategoriami. Przy tej sposobności zwrócono mi uwagę na błąd istotny w recenzji, który zatem sprostować wypada, sam zaś znalazłem drugi; oba zresztą nie z winy autora artykułu. Oto one:

1) Opierając się na bibliografii polskich tłumaczeń „Wyroczni podręcznej" podanej przez Prof. Łosia w jego wydaniu na str. 13, napisałem, że w dawnej Polsce było tłumaczeń Graciana trzy, obecnie ukazały się dwa, razem przeto pięć. W rzeczywistości sprawa ma się zgoła inaczej. *Pierwszym* tłumaczem „Gracjanowych Maksym czyli Oraculum etc." był ks. Aleksander Brodowski (a nie jak podaje prof. Łoś — Borowski). Tłumaczenie to ukazało się w Sandomierzu w 1764 r.

Drugie tłumaczeni to „Baltazar Gracyan doskonalący dworskiego człowieka przez 300 maxym w języku hiszpańskim wydanych etc." — przełożył ks. Wacław hrabia Sierakowski Proboszcz Katedry Krakowskiej i wydał w Krakowie w 1802 r. — Nawiasem mówiąc ks. Sierakowski (1746 — 1806) zasłynął jako mąż wielkiej pobożności, nauki, pracowitości oraz miłosierdzia. W Sandomierzu gdzie w 1787 r. został proboszczem, założył aptekę i ustanowił przy niej lekarza. Wielki miłośnik muzyki zakłada w Krakowie szkołę śpiewu, z której wychodzi szereg wybitnych śpiewaków; obok tego zajmuje się popieraniem rzemiosła i pozostawia w spuściźnie literackiej kilkanaście dzieł treści religijnej i moralnej. Postać ciekawa i zasługująca aby się nią zainteresowano.

Trzecie w kolejności miejsce zajmuje p. Bohdan Bajewicz a *czwarte* Prof. Stanisław Łoś. *Piąte* zatem czeka na kandydata.

2) Błąd powstał stąd, że Prof. Łoś podał w swej bibliografii (j. w.) pod poz. 1 i 2 jako tłumaczenie „Wyroczni podręcznej" — przekład innego dzieła Gracjana „Człowieka uniwersalnego", którego pierwsze wydanie ukazało się we Wilnie w 1762 r. a drugie tamże w 1765 r. Jest to tłumaczenie dzieła pod tytułem „El Discreto", którego tytuł w przekładzie francuskim brzmi „L'Homme universel". Autorem przekładu jest ks. Paweł Ksawery Brzostowski Kanonik Katedralny Wileński Pisarz Wielki Wielkiego Księstwa Litewskiego.

3) Drugi błąd spowodowany został przy łamaniu artykułu. Oto na str. 9 numeru, w kolumnie 2, w wierszu 15 od góry opuszczono po słowach:

„Kończąc swe dzieło stwierdza Gracjan" — dalsze słowa tekstu: „(Maksyma 296), że „Bóg jest wszechmocny i nieskończony" i zamyka długi szereg swych przykazań najwznioślejszym zaleceniem „Żyj świątobliwie" (Maksyma 300), wskutek czego, nie tylko tekst jest w tym miejscu zupełnie niezrozumiały, ale nadto pominięto zdanie, które ma charakter kulminacyjny w ocenie postaci Gracjana, zadając kłam jego przeciwnikom, którzy chcieliby zeń zrobić człowieka o wątpliwej doktrynie chrześciańskiej.

Tyle jeśli idzie o błędy. Ciekawym będzie dla tych, którzy zainteresowali się postacią i dziełami Gracjana dowiedzieć się, że jego „Oraculo manual" spotkała się z rozgłosem światowym tak dużym, że nie wiele dzieł może się równym poszczycić. Przetłumaczono ją na języki angielski, francuski, niemiecki, łaciński, polski, rosyjski, węgierski i włoski; razem z rodzinnym hiszpańskim rozeszła się w dziewięciu największych językach świata. Ciekawym jest, że tłumaczenie rosyjskie wyprzedziło o lat dwadzieścia, a węgierskie o dwanaście, pierwszą translację polską.

Quidam

DLACZEGO JESTEM TOMISTĄ?

(dokończenie ze str. 3)

„dziesięć kategorii". Ale są to przecież tylko prologomena do filozofii, o samej zaś lekturze św. Augustyn wyraża się lekceważąco.

W dalszej części swego groźnego dla tomizmu manifestu Zygmunt Jakimiak usiłuje od wewnątrz zaatakować tę filozofię, do której ukochania i studiowania nieustannie zachęcają katolików najwybitniejsi Następcy Piotrowi. Trudno tomiście odpierać jego zarzuty. Są naprawdę groźne w swojej naiwności. Nie sposób traktować je na serio. Po prostu banialuki. Jaskrawe dowody zupełnej nieznajomości nie tylko tematu, ale w ogóle rzeczowej filozofii. Jakimiak zarzuca tomistom poglądy, których oni wcale nie wypowiadają, wykrzykuje na ich pognębienie hasła, które są właśnie ich hasłami.

Że „abstrakcja jest tylko abstrakcją, to znaczy odbiciem umysłowym pewnego elementu rzeczywistości"— o tym tomiści dobrze pamiętają, nie trzeba ich o tym pouczać. Abstrakcja nie jest wynalazkiem tomistów. To podstawowy instrument poznawczy wszelkiego myślenia i każdej dyscypliny naukowej. Że „jeżeli człowiek ma ciało i duszę, to obie części są ważne i razem stanowią człowieka żywego" — to jest właśnie podstawowa teza tomizmu o jedności substancjalnej człowieka, złożonej z ciała i duszy.

Z całej tej bardziej namiętnej, niż rozumnej pisaniny widać natomiast wyraźnie, że autor pomylił się co do ilości powodów, dla których nie jest tomistą. Nie „dla prawie wszystkich powodów" — ale dla j e d n e g o tylko. D l a t e g o, ż e n i e c h c e n i m z o s t a ć.

Przechodząc do nauki tomistycznej o pierwszeństwo rozumu przed wolą Jakimiak atakuje ją gorąco. Naturalnie wypacza tę naukę, nie znając jej zupełnie. Nie wie przecież, że i św. Tomasz (por. Ethic. Nic. I, 6) wyżej ceni wolę od rozumu w aktach wobec Celu Ostatecznego, który tu na ziemi więcej może być przez człowieka ukochany, niż zrozumiany; że i teologia moralna tomizmu „składa całą odpowiedzialność na wolę", bo od niej zależy, czy człowiek jest dobry, czy zły. Że tomizm tłumaczy mechanikę wolnej woli przez panowanie jej nad t. zw. sądem praktycznym, który poprzedza czyn. (św. Tomasz: „De Veritate", q. 24). Ale to wszystko nie świadczy o prymacie woli i nie przemawia wcale na korzyść woluntaryzmu i sentymentalizmu, propagowanego przez Jakimiaka w filozofii. Muszę go zasmucić, że św. Augustyn, na którego autorytet powołuje się i w tej sprawie, nigdy nie napisał: „bardzo kochaj wolę". Napisał natomiast tak: „B a r d z o k o c h a j r o z u m. Kto dobrze zrozumiał to, w co wierzył, wyżej napewno stoi od tego, który dopiero pragnie zrozumieć to, w co wierzy. Jeśli zaś nie pragnie, a prawdy dostępne dla rozumu uznaje jedynie za przedmiot wiary — nie wie, jakiej sprawie służy wiara". (Epist. 120 r. II. n. 8).

Jakimiak jednak uważa, że samo poznanie jest aktem woli „bo przyjmie ona tylko to, co zechce do swej wiary, a odrzuci to, czego nie zechce przyjąć". Trzeba więc mieć serce i patrzeć w serce. Nikt nie jest rozumem zmuszony do uznania jakiejś bezwzględnej prawdy; na przykład, że całość jest większa od swojej części. Pan X ma prawo twierdzić, że część jest większa od swej całości, bo tak mu się podoba. Uczeń w szkole będzie mógł się upierać, że żadne koło nie jest okrągłe, jeśli mu to podyktuje serce.

A pan Jakimiak daje pod tym względem dobry przykład, uważając, że wolno osądzać wartość jakiejś rzeczy, nie mając o niej zielonego pojęcia. Oto potępia teraz filozofię tomistyczną, bo n i e c h c e jej przyjąć. Nie podoba mu się. Nie przemawia do jego filozoficznego serca. Jest człowiekiem z charakterem. On „wie, czego chce". A może raczej „chce, czego nie wie"?

Tadeusz Kordyasz

P. S. Ponieważ zdarzyło mi się w pewnej publikacji zamieścić niefortunnie sformułowaną krytykę tez t e o l o g i c z n y c h św. Tomasza i z tej racji niektórzy uznali mnie za przeciwnika tomizmu, nie chciałbym, aby artykuł niniejszy został potraktowany, jako niespodziewany zwrot w moich poglądach. „Tomizm nie jest tym samym, co nauka historycznego św. Tomasza" — pisze O. Bocheński. Można być więc tomistą i nie podzielać wszystkich wniosków teologicznych św. Tomasza. W ramach jednego systemu filozoficznego jest miejsce na różne rozwiązania poszczególnych zagadnień.

Sine ira

DON CHUAN i DON KICHOT
CZYLI NIEPOTRZEBNY REWIZJONIZM

Zaczęło się w „Przekroju". Oto „Przekrój" wydrukował wielki artykuł, w którym poddał druzgocącej krytyce dotychczasową wymowę „Donkiszota z Manszy", proponując, by używać innego, prawidłowego (?!!!) brzmienia: „Don Kichot", „Don Kichote", lub jeszcze gorzej — wymawiając literę „ch" w brzmieniu polskim.

„Gorzej" piszę dlatego, że w języku polskim pochodzenie brzmienia nazwiska od „kichania" nadawałoby wymowie i interpretacji tego nazwiska ton wręcz drwiący i nieprzyjemny (przypomnijmy choćby brzydki, ale jakże znaczący zwrot „kicham na świat"). A przecież do Donkiszota nie odnosimy się nigdy ironicznie, przeciwnie, mówimy o nim z nutką dużego współczucia i sentymentalizmu, po cóż zatem i komu potrzebne to KICHANIE Przekrojowe na Don Kichota?

Okazję zaraz podchwyciło Polskie Radio i.....! Mamy teraz w Radio, zamiast wytwornego i uwodzicielskiego Donżuana (używającego donżuanerii gdzie i jak się da) — Don Huana, a właściwie Don Chuana „warszawska wymowa litery „H"), który w coraz to innej, a swoistej interpretacji pp. Speakerów przekształca się w Don CHULANA lub HUłana...

Sięgam zatem do Szoberowskiego Słownika Poprawnej Polszczyzny. Strona 61, cytuję dosłownie:

„Don Juan" (imię własne) — donżuan (rzecz. pospol.) — donżuaneria.

„Donkiszot" (nie: Don Kichot) — donkiszoteria,

i odsyłacz do większego autorytetu, jakim jest czasopismo „Język Polski", tom 8 str. 44".

A zatem i Donkiszot i Donżuan.

Poza tym przecież, doprawdy, i Donżuan z donżuanerią, i Donkiszot z donkiszoterią zyskały sobie przez długie lata chyba tak wystarczające obywatelstwo w języku polskim, że nie potrzeba im zbędnych rewizjonistyczno - nowinkarskich „odbrązowywań", na dobitkę tak fatalnie brzmiących.

Na marginesie „Słownika Poprawnej Polszczyzny" St. Szobera.

Niestety, słownika tego nigdzie nie można nabyć, gdyż cały nakład 10.500 egzemplarzy (wg notatki drukarni) — rozszedł się bez mała w mgnieniu oka, co tylko zresztą najlepiej świadczy o zamiłowaniu Polaków do poprawnego używania własnego języka.

Wiemy, jak słownik ten jest stale każdemu potrzebny, zwłaszcza np. w hali maszyn do pisania każdego biura lub przedsiębiorstwa. Wydawca, zapytany o nowy nakład — nic nie umie na ten temat powiedzieć.

Czy nie można by zaapelować do Państwowego Instytutu Wydawniczego, aby np. na przekroczeniu planu tegorocznego podjął nową, III z kolei edycję tego Słownika?

Stefan Górecki

PROROCTWO HITLEROWSKIE

W sierpniu 1939 roku, to jest na kilkanaście dni przed wybuchem wojny wpadło mi do ręki popularne niemieckie pismo humorystyczne p. n. „Fliegende Blätter". Umieszczono tam m. inn. dowcip, który wówczas bardzo się hitlerowcom podobał, a był tymczasem, mimo ich woli, przedziwnie proroczy, tylko w „odwrotną stronę", bo na korzyść Polski.

Dowcip oparty był na grze słów w języku niemieckim, w którym „oder" oznacza albo, a Oder przez duże „O"— rzekę Odrę.

Na obrazku wymalowano wielkiego groźnego SS-mana z ręcznym karabinem maszynowym oraz małego Polaka z gołymi rękami.

Na tle ultimatum Hitlera — Niemiec mówi do Polaka: „entweder — oder", czyli ALBO Gdańsk i autostrada przez Pomorze, ALBO WOJNA. (entweder i oder są w niemieckim języku synonimami słowa „albo").

A na to Polak (czytaj: GŁUPI Polak) odpowiada: ich wähle Oder", to znaczy, wybieram Odrę, jako przyszłą, żądaną granicę Polski.

Oczywiście hitlerowcy pękali ze śmiechu z tej „głupoty politycznej" i „braku zmysłu rozsądku" u Polaków, nie przypuszczając zupełnie w jaki sposób w kilka lat po tym zrealizuje się wbrew ich woli ten żart.

S. I. G.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze naszego pisma, na pierwszej stronicy, pod reprodukcją obrazu Matki Boskiej z BIELAN POD KRAKOWEM — wydrukowano omyłkowo, że obraz pochodzi z Bielan pod Warszawą. Prostując pomyłkę, przepraszamy jednocześnie naszych Czytelników.

Redaktor Naczelny Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych.
Druk. Skelimowska 5. B-110231